

W numerze: Pierwsza runda • Dzień jak co dzień • Kuchnia XI Muzy • Posada • Delikates z przedrostkiem • Pożegnanie z Łodzią • Łodziarze podróżują • Polonica • Felieton • Recenzje

O d a q ł o s u



Nr 23 (327)
7. VI 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

Jutro w Łodzi



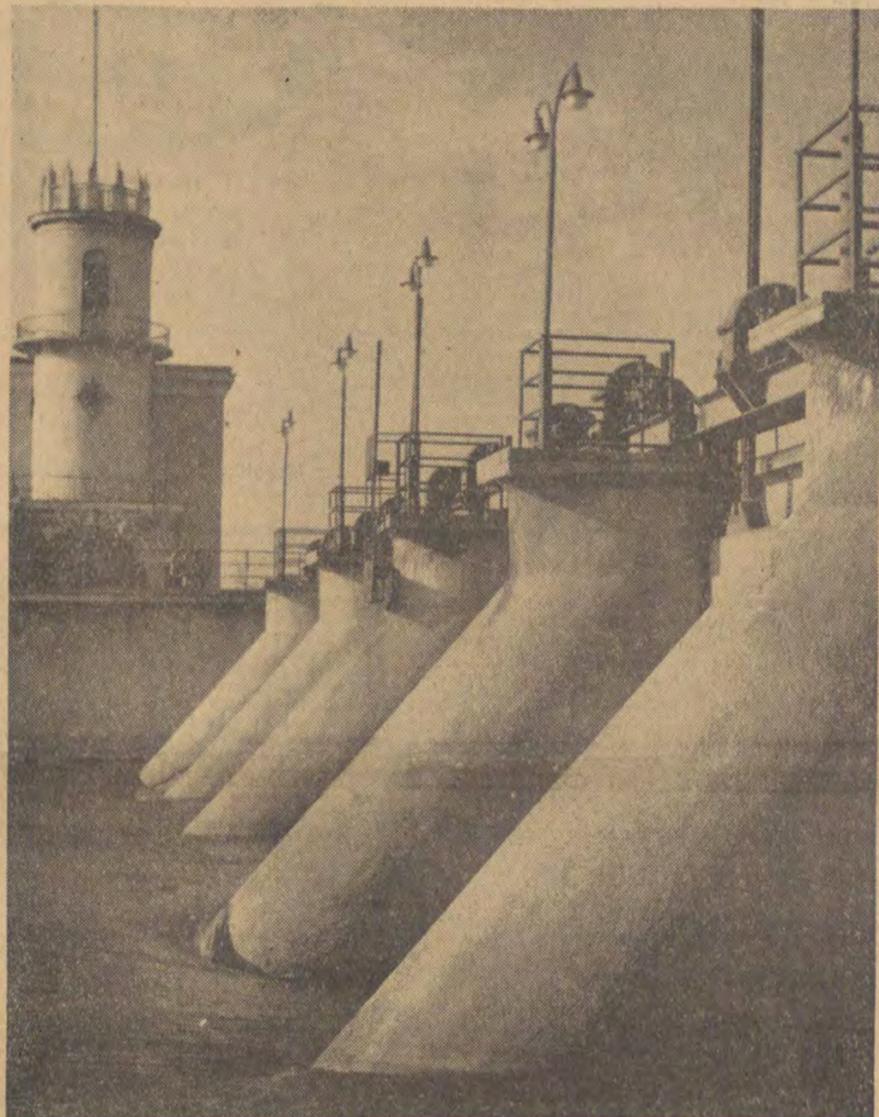
Zorganizowaliśmy tę dyskusję w przekonaniu, iż zainteresuje ona czytelników, dotyczy bowiem niedalekiej przyszłości naszego miasta, przyszłości, która wpłynie na osobiste losy każdego łodzianina. Mówią o niej: sekretarz KE PZPR — Marian Kuliński, dziekan Wydziału Ekonomicznego UE — prof. Jan Mujżel i wiceprzewodniczący Prez. RN m. Łodzi — inż. Jerzy Lorens.

Pytają — przedstawiciele redakcji.

INWESTYCJE...

REDAKCJA: Najważniejsze miejsce w uchwalonych przez XV Plenum KC PZPR — a dyskutowanych obecnie — tezach zjazdowych zajmuje problematyka planu gospodarczego na lata 1966-1970. W oparciu o tezy, które wyznaczają przecież przyszłość gospodarki narodowej, dyskutowane są

Dalszy ciąg na str. 3



Fot. IDZINSKI

DELEGACI

Publikowane przez naszą prasę codzienną listy nazwisk delegatów na IV Zjazd Partii stanowią dla każdego interesującą lekturę. Wynika to z powszechnej akceptacji znaczenia Zjazdu, tego dziś najdonioślejszego wydarzenia w życiu narodu. A mówiąc prościej: takie zainteresowanie wynika i ze świadomości, że Zjazd zdecyduje na najbliższe lata nie tylko o losie całego naszego społeczeństwa, lecz również i o naszym losie jednostkowym, o moim losie, i o Twoim.

Wiemy przecież, że Zjazd nie będzie jakąś polityczną abstrakcją. Wiemy, że stanie się on wspólnym dziełem ludzi, właśnie tych, których nazwiska podaje dziś prasa. Dlatego z uwagą czytamy długie ich listy i szukamy nazwisk znanych. A spotykając je doznajemy uczucia, że to anonimowe dotąd gremium ożyło. Sprawiają to czyjeś walory moralne i zawodowe, znana nam czyjaś suma doświadczeń życiowych i profesjonalnych. I wiemy już czego od delegatów oczekiwać. Takie właśnie rozmowy słyszy się dziś bez przesady na każdym kroku „On postawi sprawę naszego eksportu” — albo „On nie da skreślić tej inwestycji”.

Bowiem nasza łódzka delegacja jest przede wszystkim zespołem robczym. Jej dominującą włóknarski charakter rzuca się w oczy. Czy może być inaczej? Przyszłość tego miasta — i nas wszystkich z Łodzią związanych — jest przyszłością włóknarską. Delegacja łódzka będzie o tym pamiętać i w czasie obrad plenarnych i w pracach komisji zjazdowych. Tego zresztą właśnie od niej oczekujemy.

Rzuca się w oczy i to, że delegacja nasza jest młoda. Nie chodzi tu tylko o wiek dużej części delegatów. Takie wrażenie sprawia szczególny układ nazwisk, zestawiający starych i doświadczonych działaczy z ludźmi, którzy dopiero podejmują działalność polityczną, i którzy w obrady Zjazdu na pewno wniosą świeże nie obarczone rutyną widzenie spraw.

Delegacja nasza jest wreszcie i rzetelnym odbiciem struktury społecznej naszego miasta. Na listach, obok nazwisk naukowca i artysty, spotykamy nazwiska robotnic i techników. Każdy z tych ludzi ma swój własny stosunek do spraw, które staną się przedmiotem dyskusji zjazdowej, ale łączy ich wszystkich świadomość, że powierzono im zadanie niezwyklej wagi, że wspólnie mają wytyczyć drogę, którymi pójdzie w przyszłość nasze miasto. I ta sprawa — jutro Łodzi — będzie zapewne dominowała nad widzeniem subiektywnym i nad środowiskowymi powiązaniem delegatów.

Lista nazwisk delegatów na IV Zjazd Partii jest więc ważnym dokumentem mówiącym o naszych czasach. Dokumentem świadczącym o coraz dalej zachodzących procesach doskonalenia się Indowladztwa. Dokumentem świadczącym o coraz pełniejszym kształcie socjalistycznej koncepcji i kierowania losem narodu.

KONRAD FREJDLICH

TOPÓR nad TAIWANEM

1.

Niedaleko za przejazdem trzeba zejść w kartofle. Droga szeroka, asfaltowa prowadzi dalej, ale zdaje się wybierać ją tylko kierowcy. Zejście w pole oplaca się, w sensie widoku i namotania pewnych spraw. Stąd „Sira” prezentuje najlepiej swoje szkło i żelbeton w pełnym słońcu. Ale wystarczy leciutko

odwrócić głowę i od razu człowiek odnajduje się w innym świecie. Baraki na całą długość ulicy, ta asfaltowa szosa jest jednak ulicą. Odmianna dopiero przy bramie wjazdowej zakładów. Tam baraki ustępują miejsca nowym blokom. Pięć murowanych budynków na jednej osi kierunkowej, więc raczej rząd niż osiedle. Zejście nad Wartę zamyka jeszcze jeden barak.

Gdy chodzi o chronologię, trzeba zacząć od tego ostatniego baru „zdobnego” w werandy. Cudzyśłów jest niezbędny, gdyż na słowo, się w stróżówce wygląda porządnie. Barak był przeznaczony na lotnisko, rzeka i dzisiaj przyciąga w sezonie, stawał go ksiądz. Duszpasterska posiadłość składała się z dwu czerwonych murowańców i kociółka. W jednym z tych nigdy nie otynkowanych budynków na pięterku mieszka jeszcze księży brat, starszek.

Cały rząd baraków postawił zarząd miejski. Było to z lat temu dziesięć, albo nieco więcej, w końcu nie idzie o szczegóły. Wówczas w każdym razie nie różniły się od tego wszystkiego, co niósł w sobie teren. Do centrum Sieradza jest stąd jednak kilometr z okładem, a i to droga najkrótsza, przez tory kolejowe, gdzie od czasu do czasu lubią wrzebiać mandaty sokiści. Przez całe lata wybrać się do baraków było pomimo wszystko ryzykiem. Nie tylko dla

tego, że milicja kolejowa nauczyła się wyciągać ludziom pieniądze z kieszeni. W tej wojnie podjazdowej obowiązywała znośna równowaga sił. Milicja dysponuje prawem karania, a ludzie ilością. Gdy spisywano jednego frajera, stu innych szczęściarzy już na pewniaka walilo przez tory.

Bardziej dawały się we znaki naturalne przeszkody terenowe. Wystarczył lada deszcz, aby udeplana ścieżyna zmieniła się w cały system bajerek pełnych lepkiej, nieprzyjemnej maźi. Aktualną alternatywą było złamanie nogi na wykrótach lub wybićie zębów. W tym ostatnim wypadku siły natury wspierane były pięścią młodego człowieka o przydomku Bakus i jego ferajny. Z logicznego punktu widzenia cały sylogizm przedstawiał się zupełnie jednoznacznie, a gdy na domiar tego w jednym z baraków zastał mężczyzna o powierzchowności Czang Kajsze, Sieradz ukul dla całej kolonii nazwę Taiwan. Gdy uzmysłowić sobie, że czasowo chrzciny baraków zbiegają się z porównaniem polskiego statku przez chińskich piratów, fakty nabierają specjalnej wymowy. W każdym razie nikt nie przypuszczał, że nazwa zemści się na rodzicach chrzciny. Jak wiadomo niebezpieczna wyspa na chińskim morzu nosi równowartościowe imię Formoza, co odpowiada polskiemu przymiotnikowi „piękna”. Blok mieszkalny,

które stanęły na Taiwanie w poprzek nazwie, może nie są ładniejsze od tych przy Rytiku czy osiedlowych niedaleko sieradzkiego kina. Wyposażeniem górują jednak zdecydowanie nad miejskimi. Centralnym ogrzewaniem i gorącą wodą z kranu. Stało się tak za sprawą „Siry”, która zadła najdotkliwszy cios korsarskiej nazwie.

2.

„Sira” to Sieradz. Zdanie, które może stać się osnową reportażu wypowiedział od niechcenia młody człowiek, pracownik zakładów dziewiarskich. Można to zdanie rozumieć jednoznacznie. Pod tym imieniem występuje bowiem miasto Sieradz w najstarszych kronikach. Ale młody chłopak myślał co innego i dobrze myślał.

Pamięta siedzibę władz powiatowych sprzed lat kilkunastu jak i ja ją pamiętam. Na rogatce, gdzie stał autobus PKS, wysiadało się w mst odór gorzelni. To była wielka chemia, od której zapierało dech w sensie dosłownym, bo emocji produkcyjnej jednak w sobie nie niosła, skoro co drugi człowiek po-

Dalszy ciąg
na str. 4

odgłosy W świecie

PRZEPROWADZKA EGIPSKICH BOGÓW

Abu Simbel głośno w całym świecie — mówią o nim turyści i naukowcy, inżynierowie i technicy. Abu Simbel przestanie niebawem istnieć. Od chwili kiedy asuańska zapora stanęła w poprzek Nilu, stopniowo podnoszą się wody rzeki. Na południe od Asuanu tworzy się sztuczne jezioro. Woda ożywi 2 miliony pustynnych hektarów ziemi, da moc elektrowniom. Wewnętrzne

morze pochłonie drzewa, domy, uprawne pola i bezcenne zabytki egipskiej przeszłości.

Ale nie wszystkie zaginę. Ocalały świątynie w Abu Simbel — wzniesione 3000 lat temu przez Ramzesa II.

Ramzes II miał żonę Nefertari, miał także 150 (!) synów. (Wprawdzie nie z Nefertari; imion innych kobiet nie przekazała historia). Był to największy z władców Egiptu — zbudował wiele miast, wygrał liczne bitwy, rozszerzył granice swego państwa i własną chwałę wyśpiewał w najdłuższym z egipskich poematów. Dokumentem, który najpełniej sławi tego faraona są świątynie wykute w nubijskiej skale. Dwie z nich — najwspanialsze — znajdują się w Abu Simbel.

Świątynia Ramzesa, na której widnieje napis: „Ramzes — przez Boga wybrany”, — liczy 27 m wysokości i 47 m szerokości. Druga głosi chwałę Nefertari i bogini Hathor. Obie budowle przetrwały do naszych czasów nienaruszone. Abu Simbel jest celem odwiedzin turystów, których zachwyty budzą gigantyczne kształty wtopione w kolorysty skale. W wody Nilu spoglądają twarze 4 olbrzymich posągów stojących na straży miejsc świętych.

Dziś krajobraz Abu Simbel zmienia się. W piaskach stała plaża wbito żelazne rusztowania, stalowe ramiona dźwigów sięgnęły obłędnie posągu Ramzesa. Dokola uwijają się ludzie, których blond włosy zdradzają nieegipskie pochodzenie. To forpoczątki inżynierów i techników radzieckich. Przybyli tutaj, by w imię cywilizacji stoczyć największą bitwę: bezcenne dzieła architektury będą ocalone, a czas nagli, gdyż wody Nilu piętrzą się szybko.

Budowa niłowej zapory i akcja ratowania świątyni to jedno z największych prac, jakie człowiek podejmował, przedsięwzięcia na miarę Cheopsa.

1700 radzieckich techników i 30 tysięcy arabskich robotników budują dzień i noc asuańską zaporę, 111 m wysoką i 3600 m długą.

Ratowanie arcydzieł egipskiej przeszłości to sprawa całego świata. Liczne kraje zadeklarowały swą pomoc. Plan działania jest wynikiem myśli naukowców wielu krajów. Świątynia Ram-

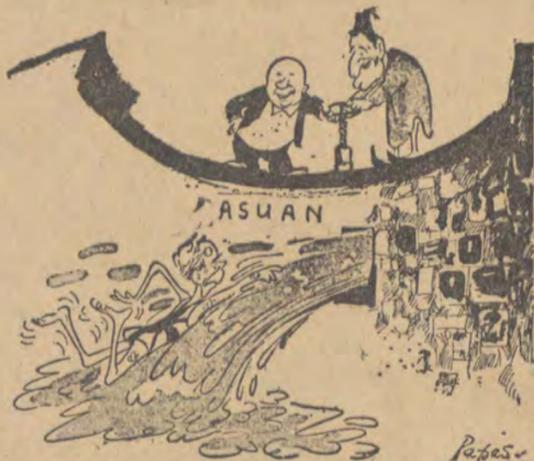
zesa i Nefertari będą przeniesione 60 metrów powyżej miejsca, w którym się znajdują, a gdzie niebawem wtargnie woda. Aby nie dopuścić do zalania, zanim „przenosiny” nie zostaną ukończone, buduje się przewizoryczną, małą (!) zaporę, 28 m wysoką i 360 m długą. Jak obliczono, wody Nilu, od chwili zamknięcia tamy, podniosą się będą od 4 do 5 cm dziennie. W październiku br. poziom rzeki będzie wyższy o 8 m.

Świątynię i posągi przenosić się będzie w częściach. Najpierw zostaną wycięte ze skały, potem masyw skalny potnie się na 30-tonowe bloki. Świątynia Ramzesa składać się będzie z 800 bloków, a świątynia Nefertari — z 300. Ponu-

merowanie bloków ułatwi ułożenie ich w nowym miejscu. W ten sposób potnie się i przetransportuje 160 tys. m³ skały. Roboty zostaną ukończone w 1970 r. Dla 2000 ludzi, którzy tu pracują zbudowano miasteczko, a w nim, drogi, domy, szkoły, szpital i elektrownię. Jest i lotnisko, gdzie lądują i skąd startują samoloty do Asuanu i Kairu. Po zakończeniu robót powstanie w sercu pustyni, miasteczko — ośrodek turystyczny.

Do Abu Simbel przybywają ostatni już turyści. Po 5 latach, gdy powrócą, znajdą tu szumiące morze, a nad jego brzegiem znane do brze świątynie i posągi — dzieło rąk ludzkich sprzed 3 tysięcy lat.

M. T.



...z kłopotów imperialnych premiera Hume'a

TRAGEDIA W LIMIE

Stadion w Limie, oddany do użytku w 1953 roku należy do najnowocześniejszych i najlepiej wyposażonych obiektów sportowych w Ameryce. Architekci rozwiązali przy jego budowie m. in. również i trudne problemy ruchu, i komunikacji, toteż stadion wyróżnia się wygodnymi trybunami, amfiteatralnie rozmieszczonymi segmentami dla publiczności oraz systemem wejść i schodów doprowadzających, dzięki którym widzowie mogą opuścić trybuny bez pośpiechu i tłoku w parę minut po meczu.

Któż wiec mógł przypuszczać, że właśnie tu rozegra się największa tragedia w historii sportu, dramat tylu wstrząsający co absurdalny: właśnie na tym pięknym, nowoczesnym boisku znalazły śmierć setki kibiców, miłośników piłkarstwa.

Przedolimpijskie rozgrywki eliminacyjne Południowej Ameryki wysunęły na czoło tabeli Brazylię, bezspornego lidera oraz Argentynę i Peru. I oto mecz rozgrywany w Limie miał dać odpowiedź na pytanie kto jako srebrny medalista eliminacji pojedzie wraz z mistrzem — drużyną Brazylii — jesienią do Tokio. Stawka była wysoka — ale nie nie wskazywało na to, że zostanie opłaconą takim haraczem.

Mecz zbliżał się ku końcowi: Argentyna prowadziła 1:0, gdy w 80 minucie jej gracz Morales strzelił wyrównującą, samobójczą bramkę. Tym opowiadał fanatyczny entuzjizm. Ale oto sędzia Angel Pazos — zapamiętajmy to nazwisko, przeszedł ono do historii sportu — nie uznał bramki: tuż przed jej strzeleniem jeden z pe-

ruwiańskich napastników sfaułował Argentynczyka.

Mecz od początku był ostry i pełen wykroczeń. Teraz trybuny zaczęły gorąco protestować: mimo to gra potoczyła się dalej.

W 86 minucie na boisko wdarło się dwu rozgorączkowanych kibiców; jednego z nich wyprowadził policja. Drugi wdał się w awanturę z urzędnikiem z administracji stadionu. Nagle doszło między nimi do bójki, i oto kibic, na oczach trybun, został powalony na ziemię.

Tak się zaczęło. Na boisko wdarły się teraz tysiące rozszalałych widzów, opianowanych masową histerią: gracze i sędziowie schronili się do kabin, ale natychmiast rozpoczęli się ich szturm. Policja nie była w stanie skutecznie interweniować: wycofała się za ogrodzenie, i wtedy też padły pierwsze strzały: ponoc „w powietrze”, „dla odstraszenia”. Tym odpowiedział gradem butelek. Lada chwila groziło wtargnięcie do szatni

Argentynczyków: co by się wtedy stało?

I tak doszło do nieszczęsnej i tragicznej w skutkach decyzji: oficer policji wydał rozkaz użycia gazów łzawiących. Ledwie granaty z gazem pękły na boisku i trybunach — już zaczęła się panika: opianowane nią tysiące widzów rzuciły się do wyjścia. Tego co działo się w następnych kilkunastu minutach — nie da się opisać: nad stadionem zawiał potworny krzyk: ginęły strątowane kobiety, ginęły dzieci. W przejściach znalazły śmierć setki poduszonych ludzi: jedni padali, inni trawali ich nie zważając na nic i cisnęli się między żelazne barierki wyjścia, by tu znaleźć straszną śmierć. Wolania o pomoc, jęki, rozdzierający krzyk ginących, zlewał się w jedno ze zwierzęcym rykiem tłumu.

A potem, gdy już było po wszystkim, wybuchł gniew: setki ofiar domagały się pomsty. Kto ponosił winę za ich śmierć? Tym dopatrzył się winnych w szeregach pol-

licji, a także wśród działaczy sportowych. Doszło do aktów gwałtu i samosądu, na ulicach płonęły samochody. Z największym trudem opanowano sytuację w mieście — i wreszcie zaczęły liczyć ofiary. Do dziś nie ustalono ich ścisłej liczby: około 400 osób zginęło na stadionie, ale jednak umarło od odniesionych obrażeń później, w szpitalach i w domach?

Oczywiście, wypadki te dały powód do deklaracji politycznych: prawica zażądała natychmiast represji antykomunistycznych, obciążając lewicę odpowiedzialnością za katastrofę na stadionie. W Limie ogłoszono stan wyjątkowy. Zaczęły się aresztowania.

Na tle tej tragedii, przyczyny, które ją wywołały, wydają się blade: i tylko FIFA głowi się nad tymi problemami: czy zawiesić dalsze rozgrywki o puchar Południowej Ameryki? Czy mecz Peru — Argentyna winien się odbyć?

S. M.

GDY ZIEMIA DRŻY

O jakiś czas gazety donoszą o trzęsieniach ziemi. 7 maja odczuto wstrząsy w Tanganice, 8 maja w Japonii. Aktywizuje się Wezuwiusz. Rybacy z Alaski opowiadają, że po trzęsieniu ziemi w okolicy miasta Anchorage wybrzeże podniosło się o dwa metry.

Niegdyś przeżył trzęsienie ziemi Karol Darwin. Zdarzyło się to podczas jego podróży badawczej na statku „Beagle” w roku 1835. Wielki uczoney przebywał wtedy jednak na lądzie. Zmęczony podróżą położył się w lesie, w pobliżu chilijskiego portu Valdivia. I gdy tak wycoczywał nagle zaczęła drżeć ziemia. Trwało to zaledwie dwie minuty, ale Darwinowi zdawało się, że czas rozciągnął się w nieskończoność. Doznał niemal za-

wrotu głowy, jakby znajdował się na morzu, w łodzi miastanej krótkimi, gwałtownymi i krzyżującymi się falami. Pisał potem, że ziemia, symbol tego co trwałe, poruszała się pod stopami jak cienka skóra na czymś co było płynne. Darwin ujął w ten sposób najbardziej charakterystyczne wrażenie, jakich doznają ludzie podczas trzęsienia ziemi — czas ciągnie się w nieskończoność, a ziemia staje się taka jakby była płynną powierzchnią miotaną krótkimi, gwałtownymi falami.

Jeśli silne trzęsienia ziemi wystąpią w miejscach zamieszkałych przez człowieka, wyrządzają nieraz ogromne straty. Czasem nawet całkowicie zmieniają krajobraz. I tak np. wybrzeże nowozelandzkie nawiedzono w 1933 r. przez trzęsienie ziemi podniosło się w okolicy miasta Napier o parę metrów wyżej. W miejscu gdzie była dawnej laguna Ahururu pasie się obecnie pięć tysięcy owiec. Po zburzeniu Agadiru przez trzęsienie ziemi w r. 1960 trzeba było sporządzać nowe mapy dna morskiego, by umożliwić statkom wpływanie do portu. Dawne mapy nie odpowiadają już rzeczywistości.

Port Royal na Jamajce, gdzie niegdyś korsarze zwozili złabowane złoto, został w r. 1692 w znacznej części zalany wodą na skutek trzęsienia ziemi. Zginęło wtedy 1.600 ludzi. Louis Galdy, z pochodzenia Francuz zyskał przy tym obławną sławę. Wpadł w głęboką szczylną jak się nagle pod nim rozwarła. Ziemia zamknęła się nad nim, ale szybko następujący drugi wstrząs wyrzucił go na powierzchnię.

Od trzęsienia ziemi ginęły całe miasta. W roku 1940 z góry Ararat (z owej góry, na której po potopie miała się zatrzymać Arka Noego) ruszyły lawiny ziemi grzebiące wiele wiosek.

Nigdzie jednak nie zmienił się krajobraz tak znacznie jak po wielkim trzęsieniu ziemi w Chile w roku 1960. Ożywiło się wówczas sześć wulkanów, powstały trzy nowe. W gruzach legły setki domów, zginęło pięć tysięcy ludzi. Kraj stracił 20 procent swego potencjału gospodarczego.

W Japonii trzęsienie ziemi w roku 1923 pochłonęło aż 200 tysięcy ofiar w ludziach. Port Royal 1692, Lizbona 1755, San Francisco 1906, Messina 1908, Tokio 1923, Agadir 1960 — oto niektóre z dat i nazw — jakie w historii

ludkości zapisały się straszliwymi tragediami.

Dnia 16 grudnia 1920 roku sejsmografy na całym świecie zanotowały potężne trzęsienie ziemi. Ustalono, że epicentrum znajduje się w chińskiej prowincji Kansu. Przez trzy miesiące nie było z tego obszaru żadnych wieści. Dopiero po upływie tego czasu zaczęły napływać depesze o tym co się stało. Zginęło 100 tysięcy ludzi. Krajobraz przedstawiał żalony widok zgłuszonych i ruin. O bliższych szczegółach nie dowiemy się nigdy. Świadkowie tej katastrofy nie przeżyli jej.

Niektórzy uczeni są zdania, że nie ma zjawisk w przyrodzie, które miałyby tak decydujący wpływ na psychikę człowieka jak trzęsienia ziemi. I tak np. wstrząs ziemi jakiemu uległa Lizbona i listopada 1755 roku był także wstrząsem psychicznym dla wielu ludzi na całym świecie. Tragedia lizbońska podważyła nawet systemy filozoficzne. Lizbona bowiem była miastem, uważanym za najbardziej pobożne w całym chrześcijańskim świecie. I właśnie Lizbonę dotknął „gniew Boży”. Goethe zachwiał się w swej wierze, Wolter skłaniający się uprzednio do leibnizowskiego opty-

mizmu, polemizował teraz w swoim utworze pt. „Spustoszenie Lizbony” z tezą o „najlepszym ze światów”. Poeci, duchowni, agnostycy — zmieniali swe systemy filozoficzne. A Lizbonę zniszczyło nie tylko trzęsienie ziemi. Zbrodnicze elementy, wyruszywszy na plądrowanie gruzów, zaprószyły ogień i miasto spłonęło. W samym tylko pałacu markiza de Lourical spłonęło dwieście obrazów, wśród których znajdowały się dzieła Tycjana, Correggia i Rubensa. Pastwa ognia padł także cenny zbiór map portugalskich odkrywców.

W ciągu każdego roku ziemia podlega więcej niż milionowi trzęsień. Większość jednak z nich to wstrząsy ledwo zauważalne nawet w obserwatoriach. Niektóre z nich są tak lekkie jak te, które wywołuje przejeżdżająca ciężarówka. Około dziesięć wstrząsów rocznie przypadających na ląd to wstrząsy silne, które na trwałe zmieniają krajobraz w miejscu gdzie wystąpią. Jeśli są to akurat tereny zamieszkałe sprawiają wielkie szkody, a nierazdki są straszliwa tragedia.

OPE. J. S.

UNESCO

Ukaż się 4 numer (kwiecień 1964 r.) Biuletynu Polskiego Komitetu do Spraw UNESCO. Na marginesie warto przypomnieć, że UNESCO jest Organizacją Narodów Zjednoczonych do spraw Wychowania, Nauki i Kultury, z siedzibą w Paryżu. Została powołana do życia w 1945 roku.

Na 36 stronach zamieszczono aż 41 interesujących pozycji, w tym trzy dłuższe publikacje, że wymienię tylko tytuły: „Międzynarodowe Stowarzyszenie Uniwersytetów” — powstanie, działalność i cele tej instytucji, „Galileusz” — hold, który składa dzisiaj świat geniozowi Galileusza w 400 rocznicę jego urodzin i wreszcie, „Międzynarodowa współpraca w dziedzinie biologii komórki” (IRO) — myślą przewodnią artykułu jest znalezienie nowych form międzynarodowej współpracy laboratoriów badawczych.

Pozostałe pozycje to informacje i kronika UNESCO.

Nie sposób szerzej omówić ani wspomnianych artykułów, ani najistotniejszych informacji. Pozostaje więc tylko ogólnie stwierdzić, iż zarówno jedno jak i drugie dają pojęcie o wadze i szerokiej działalności tej pozytywnej, międzynarodowej organizacji, w pracach której aktywny udział bierze również Polska. Dla przykładu wymienię choćby kilka tytułów, a zatem: „Konferencja Komitetów Arabskich w Algierze”, „Konsekwencje rozbrojenia dla rozwoju nauki i techniki”, „Postępy w dziedzinie oświaty w krajach afrykańskich”, „Różnorodne aspekty literatury i krytyki literackiej”, „Konferencja na temat młodzieży” i in.

Wiele refleksji nasuwa zamieszczony w biuletynie, obszerny „Kalendarz konferencji seminariów i spotkań międzynarodowych”. Pomijając, z braku miejsca, interesującą tematykę tych spotkań, warto z pewnością wspomnieć, że w okresie od 2 maja do 6 sierpnia br. obejmuje on aż 57 konferencji międzynarodowych UNESCO, w tym 2 w Warszawie.

Osobny rozdział: „Współpraca z UNESCO w Polsce”, informuje Czytelnika o udziale Polski w pracach organizacji. I tak, tylko w marcu br. w Polskiej Akademii Nauk odbyło się posiedzenie poświęcone omówieniu zmian organizacyjnych i bieżącej działalności ICSU (Międzynarodowej Rady Unii Naukowych) oraz sprawy ukonstytuowania się polskiego Komitetu ICSU; wystawa UNESCO (w Warszawie) najlepszych reprodukcji arcydzieł malarstwa światowego do roku 1880, wybranych przez ekspertów między narodowych. Odpowiedzia ona 9 miast polskich i zwiędziło ją blisko 100 tys. osób. Dalej, powstanie polskiego Komitetu Międzynarodowego Stowarzyszenia Badań nad Informacją (AIER); ogólnopolska konferencja studencka w Toruniu nt. XX-lecia polityki zagranicznej PRL, zorganizowana z inicjatywy Studenckiego Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ; Wystawa w Muzeum Narodowym „Sztuka czasów Michała Anioła”, zorganizowana pod patronatem UNESCO w związku z 400 rocznicą śmierci Michała Anioła. Ponadto, również w marcu br. odbyło się w Pałacu Młodzieży w Warszawie rozdanie nagród, przyznanych m. in. przez Polski Komitet do Spraw UNESCO, laureatom konkursu plastycznego dla młodzieży pod nazwą „Afryka w oczach dziecka”.

Wiele ciekawych informacji przynosi ostatni, krótki rozdział, zatytułowany: „Wydawnictwa UNESCO”. W sumie, biuletyn, z którego się czegoś można nauczyć.

Wiele ciekawych informacji przynosi ostatni, krótki rozdział, zatytułowany: „Wydawnictwa UNESCO”. W sumie, biuletyn, z którego się czegoś można nauczyć.

Wiele ciekawych informacji przynosi ostatni, krótki rozdział, zatytułowany: „Wydawnictwa UNESCO”. W sumie, biuletyn, z którego się czegoś można nauczyć.

Wiele ciekawych informacji przynosi ostatni, krótki rozdział, zatytułowany: „Wydawnictwa UNESCO”. W sumie, biuletyn, z którego się czegoś można nauczyć.

Wiele ciekawych informacji przynosi ostatni, krótki rozdział, zatytułowany: „Wydawnictwa UNESCO”. W sumie, biuletyn, z którego się czegoś można nauczyć.

Jutro w Łodzi

Dalszy ciąg ze str. 1

wstępne założenia do planu. Jak w ich świetle przedstawia się inwestycyjna przyszłość Łodzi?

M. KULIŃSKI: — Dobrze, że zaczynamy naszą rozmowę od tego właśnie problemu. Wydaje się bowiem, że nie ma sensu rozważać przyszłości Łodzi w sposób dowolny, bez oparcia się o konkrety. Takim podstawowym konkretem są właśnie inwestycje. One to przecież kształtują gospodarczą — a więc według mnie najważniejszą stronę przyszłości naszego miasta. Nikt jeszcze w obecnej chwili nie może wyliczyć dokładnie wszystkich łódzkich inwestycji najbliższego pięcioletnia. Dyskusje trwają, w Komisji Planowania — jak to się mówi — praca wchodzi w życie. Wiadomo, że na inwestycje w całym kraju przeznaczony jest w tym okresie 830-840 miliardów złotych i ani grosza więcej. Jest to i dużo i mało zarazem. Dużo — jeśli się zważy, że ta suma oznacza wzrost nakładów inwestycyjnych o około 36-38 proc. w stosunku do obecnej pięcioletki. Mało, jeśli się zważy wciąż rosnące inwestycyjne apetyty i potrzeby wsi, miasteczek i miast — w tym Łodzi. Dlatego też cieszą nas inwestycje „pewniaki”, te o których wiadomo, że będą. Cieszą tym bardziej, że prawie wszystkie można by nazwać „inwestycjami eksportowymi”. Umożliwiają bowiem powazny rozwój produkcji szeregu wyrobów, które Łódź bądź będzie bądź już eksportuje np. szlifierek, transformatorów, obuwia gumowego, maszyn papierniczych, włókien chemicznych. Mamy bowiem budować: fabrykę maszyn papierniczych, zakłady mechaniczne im. Strzelczyka, EC-III, skracanie w zakładach „Elasticana”, „Gumowice”, Instytut Techniki Ciepłej, rozbudowę — EC-II, „Elite”, „Anilane” (tzw. „drugi ciąg” obecnie wykańczanej wytwórni włókien chemicznych), końcówkę — drukarnię dzienną. Ma także powstać m. in. 14 zakładów produkcyjnych i usługowych w przemysłowym terenie, 6 — w spółdzielczości pracy i 6 — w spółdzielczości inwalidzkiej. O innych inwestycjach, mniej lub bardziej pewnych czy też tylko pożądanych, bo potrzebnych, nie wspominać, ponieważ ich losy wciąż się waga, a szanse to raczej małe. Dotyczy to m. in. inwestycji z dziedziny zaplecza naukowo-technicznego: instytutów branżowych, z których każdy pragnąłby się budować, bądź rozbudowywać.

J. MUJŻEL: — Wydaje mi się, że właśnie teraz, dopóki ostateczna wersja planu nie zostanie ustalona, jest okazja, aby coś jeszcze „wywalczyć” dla Łodzi. I to jest strasznie ważne i pilne. Łódź jest pozbawiona atutów historyczno-geograficzno-gospodarczych, dzięki którym inne miasta jak odbyły „przyciągają” do siebie inwestycje. Gdańsk ma morze, więc ma stocznię a stoczni, wiadomo, rzecz niezwykle ważną. Kraków ma Nową Hutę — miał 600-lecie UJ. Poznań ma Targi i „Cegielskiego”, Wrocław — to stolica Ziem Zachodnich, Warszawa — to „wiadomo stolica”. My, wprawdzie mamy również swój atut (polski Manchester), ale on w przeciwieństwie do atutów tamtych miast raczej nie ściąga nowych — dużych — inwestycji. Przemysł lekki ma, jak głosią tezy, zabezpieczyć wstępującą potrzebę rynku krajowego oraz potrzeby eksportu głównie poprzez wykorzystanie już istniejących mocy produkcyjnych.

J. LORENS: — Zgadzałem się z prof. Mujżelem ale zaznaczyć muszę, że łódzkie władze i partyjne i miejskie właśnie o te inwestycje wciąż, jeśli tak można powiedzieć, walczą. Oczywiście licząc się z aktualnymi możliwościami państwa. Mam przykład z ostatniej chwili dotyczący inwestycji z dziedziny budownictwa mieszkaniowego. My — postulujemy na lata 1966-70 127 tys. izb, Komisja Planowania proponowała początkowo 103 tys. izb — obstajemy przy swoim, uzasadniając to ogromnymi mieszkaniowymi potrzebami łodzian... i prowadzi my obecnie rozmowy z Komisją Planowania w Warszawie. Przewiduje się możliwość powiększenia liczby izb dla Łodzi ze 103 tys. do 110 tys. Gdyby cyfra ta pozostała aktualna, oznaczałoby to wzrost ilości izb w stosunku do obecnej pięcioletki o ok. 22 proc. (w ostatnim, najbardziej obfitym w izby roku 1963 wybudowaliśmy ich w Łodzi 19 274. Przy założeniu 110 tysięcy izb na lata 1966-70 średnia roczna wyniosłaby 22 tys. izb). Przewidywany średni krajowy wzrost ilości izb jest jednak o kilka procent wyższy.

REDAKCJA: — W jakim stopniu inwestycyjna przyszłość Łodzi wpłynie na zmianę dotychczasowej struktury łódzkiego przemysłu?

M. KULIŃSKI: — Zmiana profilu przemysłu Łodzi trwa właściwie od zakończenia wojny. Przy jednoczesnej modernizacji i rekonstrukcji przemysłu włókienniczego, rozbudowujemy w szybkim tempie przemysł metalowy, głównie maszynowy i elektrotechniczny z elektroniką włącznie. Sytuacja ta stwarza sprzyjający układ dla dalszego rozwoju przemysłu lekkiego ponieważ przygotowuje szerokie zaplecze techniczne i inwestycyjne dla dalszej modernizacji i wdrażania postępowych metod produkcyjnych w przemyśle włókienniczym, który stanowi i będzie stanowił podstawową bazę gospodarczą miasta. Fakt ten, woliwajacy co prawda, na zmiany w strukturze zatrudnienia, w niczym nie zmienia zasadniczego charakteru miasta określając je w dalszym ciągu jako miasto włókiennicze. Jednocześnie likwidujemy przez to w poważnym stopniu szereg jednostronności profilu produkcyjno-ekonomicznego, stwarzając do datkowo wiele miejsc pracy dla zbliżającego się wzrostu demograficznego.

J. MUJŻEL: — Całkowicie się zgadzam z takim przedstawieniem sprawy. Zmiana proporcji w zatrudnieniu, rozbudowa przemysłu metalowego i innych, nie odbierze Łodzi „palmy pierwszeństwa” we włókiennictwie. Łódź nie przestanie być polskim Manchesterem. Ma od dawna uznane tradycje centrum polskiego włókiennictwa i polskiego przemysłu odzieżowo-dziwiarskiego. Ma kadry, ma doświadczenie, ma rozbudowane zaplecze naukowo-techniczne, ma niewątpliwie duże w tej materii osiągnięcia, i sadzę, że ta zmiana proporcji w zatrudnieniu nie będzie oznaczać utraty tej roli. Łódź musi nadal pozostać i ośrodkiem dyspozycyjnym i głównym ośrodkiem zaplecza naukowo-technicznego i głównym ośrodkiem kształcenia wysoko kwalifikowanych kadr dla tego przemysłu. Sadzę, że z tej roli nie zrezygnuje. To byłaby wielka strata, której rozwój przemysłu maszynowego i elektrotechnicznego nie byłby w stanie wyrównać. Drugie pod względem wielkości miasto w Polsce powinno w jakiejś dziedzinie, i to istotnej dziedzinie, być czelonek wiodącym. A ta dziedzina jest przemysł włókienniczy i odzieżowo-dziwiarski.

PRZYSZŁOŚĆ DEMOGRAFICZNA...

REDAKCJA: — Cała Polska mówi o wycie demograficznym. Pisze się, dyskutuje i rozstrząsa tzw. „problem półtora miliona” — bo dla półtora miliona młodzieży w wieloletnim produkcyjnym: 18 lat, trzeba zabezpieczyć w przyszłej pięcioletce miejsca pracy. I to jest bodaj najbardziej istotną sprawą nowego planu gospodarczego. A jak przedstawia się demograficzna przyszłość Łodzi, problem „łódzkiego wyżu”?

J. LORENS: — „Strasznie” ta rzecz w Łodzi nie wygląda. Problem sprowadza się do 23-24 tys. młodych osób, którym trzeba zapewnić pracę w naszym mieście, w tym około 2-2,5 tys. młodzieży wiejskiej z migracją.

J. MUJŻEL: — Wolno zauważyć, że 2

tys. z migracją to jest liczba bardzo skromna nie pomyślana. Trudno mi przytoczyć konkretną cyfrę, ale cyfra, która tu padła wydaje mi się — nie chce powiedzieć niebezpieczna — ale nadmiernie optymistycznie zaprojektowana dla kształtowania się rynku pracy w Łodzi. Jeżeli ruszył Belchatów, ta ogromna „inwestycja węglowa”, to faktycznie Łódź nie miałaby problemu z poszukującymi w niej pracy ludźmi z woj. łódzkiego. Ale termin belchatowskiej inwestycji jest wciąż jeszcze dyskusyjny, a województwo nie ma w zanadru zbyt wielu inwestycji, które by gwarantowały pochłonięcie całej nadwyżki siły roboczej z tego terenu. Pozostaje więc Łódź jako ta metropolia, do której z większości powiatów przyjeżdża młodzież po naukę i pracę. Mnie się osobiście wydaje, że trudno liczyć na wzrost zatrudnienia w rolnictwie woj. łódzkiego. I dlatego — o ile Belchatów ruszy — myślę, że w następnej pięcioletce wystąpi jakiś szturm Łodzi i łódzkich miejsc pracy przez ludność z województwa.

M. KULIŃSKI: — Trudno już w tej chwili powiedzieć jak to będzie. Wstępne rozważania mówią o tych 2-2,5 tys. Warto także zauważyć, że przecież nawet przy założeniu utrzymania na obecnym poziomie zatrudnienia w gospodarstwach chłopskich, więc jest terenem gdzie może powstać poważna liczba stanowisk pracy poza gospodarką chłopską np. w zapleczu mechanizacji rolnictwa, melioracji, kółkach rolniczych, PGR-ach itp. Te możliwości w całym kraju oblicza się na 400 tys. miejsc pracy. Pewien ich procent na pewno przy pada na wsie naszego województwa. Ale powracając do wstępnego bilansu: wyżu i miejsc pracy w Łodzi. Można liczyć na dodatkowych 26 tys. miejsc pracy w przyszłej pięcioletce. W usługach przewiduje się zatrudnienie ok. 14,5 tys. osób, w budownictwie ok. 2 tys., w przemyśle precyzyjnym i elektrotechnicznym — ok. 4 tys. i w przemyśle metalowym i chemicznym — ok. 5-6 tys. (przy utrzymaniu zaplanowanych inwestycji, o których była już mowa).

REDAKCJA: — Wynikałoby więc z tego, że sa miejsca dla „wyżu”, że uwzględnia się nawet wzrost nadwyżki 1-2 tys. osób.

M. KULIŃSKI: — Tak, tak rzecz wygląda jak to się mówi po „wstępnych przybliżeniach”. Ale musimy brać pod uwagę i drugi, mniej optymistyczny, wariant. Pewna liczba osób może poszukiwać innej pracy w związku z zmianami technicznymi w ich macierzystych zakładach, pewna liczba może „nie pasować” swoimi kwalifikacjami do istniejących w danym momencie wolnych miejsc pracy. Dlatego wydaje mi się, że mimo bardzo poważnych rezerw zatrudnieniowych, jakie kryje np. nasz przemysł ciężki (na skutek podniesienia tzw. wskaźnika zmienności) moglibyśmy zatrudnić w nich dodatkowo ok. 5 tys. osób, mimo szerokiej perspektywy zatrudnienia w usługach, o „łódzkim wyżu” nie wolno przestać myśleć i dyskusować.

J. MUJŻEL: — Zastanawiam się, czy usługi faktycznie zdołają pochłonąć aż 14,5 tys. osób...

J. LORENS: — Pozwól sobie zauważyć, że co do tego nie może być wątpliwości. Już w tej pięcioletce nastawiamy się na poważny ich rozwój, a tym bardziej w przyszłej. Usługi — to przecież łódzka „pięta achillesowa”. Zważmy, że na tysiąc mieszkańców w działach usługowych w Łodzi pracują zaledwie 134 osoby, we Wrocławiu — 169, w Krakowie — 173, w Poznaniu — 175, a w Warszawie — 236. Fakt, iż mówimy o usługach w związku z wyżem nie świadczy bynajmniej o tym, że mają one spełnić rolę swoistego „bufora zatrudnieniowego”. Wręcz przeciwnie. Usługi są w Łodzi niezbędne — to każdy potwierdzi. Każdy, kto stoi w ogonku do pralni, kto nie może dopchać się do lady takiego czy innego sklepu, doczekać się speda czy telerowozu, zepsutego kranu, piecyka gazowego, znaleźć chemików do zreperowania, czy przeróbki odzieży...

PRZYSZŁOŚĆ SOCJALNA...

REDAKCJA: — Jak w świetle tych przewidywań perspektyw rozwojowych Łodzi rysuje się nasza przyszłość socjalna, powiedzmy — los łodzianina lat 66-70?

J. MUJŻEL: — Ja osobiście widzę ten los na ile łączy sytuację gospodarczą kraju.

Gospodarka musi rozwiązać niezwykle trudne zagadnienie przejścia przez „próg demograficzny”. Efekty przeskoczenia tej bariery we wzmożoną siłą zacząć owocować w okresach następnych. Wyż ogromnie komplikuje politykę gospodarczą w przyszłym pięcioletcu, to rzecz powszechnie znana. Drugi moment, który też nie jest bez znaczenia to jest to, że musimy doprowadzić do zrównoważenia pewnych elementów naszej gospodarki, które w minionych latach wywoływały powstanie dysproporcji. Pierwszym tego rodzaju elementem jest handel zagraniczny. W okresie pięcioletki 56-60 zadaliśmy pewne istotne zobowiązania. W chwili obecnej — właśnie w tym trudnym momencie, musimy regulować rachunki za poprzedni okres. I to w taki sposób, ażeby nie tylko zrównoważyć nasze obroty w handlu zagranicznym, ale i uzyskać pewne nadwyżki płatnicze. Rzecz bardzo słusznie pomyślana w tezach przedzjazdowych jest stworzenie rezerwy dewizowej, która pozwoli na korzystny manewr na rynku zagranicznym. Niejednokrotnie powstrzymanie się z transakcji na niedługi okres czasu może dać wielki efekt w postaci wyższej ceny, czy dogodniejszych warunków zakupu lub sprzedaży. Drugim elementem jest rolnictwo. Osiągnięto ono w latach 56-60 imponujące wyniki dzięki trafnej polityce jaką wówczas wobec rolnictwa zastosowano. Ale te najłatwiejsze rezerwy, które istniały zostały już wykorzystane. W chwili obecnej dalszy wzrost można osiągnąć tylko poprzez zwiększenie nakładów na rolnictwo i stać w tezach przewiduje się aż 18 proc. całości nakładów inwestycyjnych właśnie na rolnictwo. Musimy zdawać sobie sprawę, że to jest niezbędne ale dodatkowe obciążenie dla gospodarki narodowej.

W tej obiektywnej sytuacji przewidywanej w latach 56-60 imponujące wyniki z jednego mieszkańca o 18 proc. — w przyszłej pięcioletce, jest sukcesem. Sukcesem, który można by powiększyć. Właśnie dyskusja przedzjazdowa ujawnia szereg możliwości powiększenia tego sukcesu. Wspomnę dla przykładu o ogromnych rezerwach tkwiących w samym systemie zarządzania gospodarką i pewnych krokach zmierzających do jego usprawnienia (np. już realizowane bardzo poważne rozszerzenie kompetencji jednostek), o wciąż — niestety — potencjalnej możliwości wypracowania takiego systemu zarządzania, który by umożliwiał ludzimi inicjatywami „kłaść ich” — poprzez racjonalny system bodźców — do inicjatyw, i uczył inicjatyw. To wszystko jest możliwe a to wszystko ma ogromny wpływ na los człowieka i łodzianina.

J. LORENS: — Patrząc na los tegoż łodzianina od strony komunalnej, widzę go optymistycznie. W przyszłym pięcioletcu z wodociągów będzie korzystał 80 proc. ludności naszego miasta — obecnie korzysta 63 proc., z kanalizacji — 76 proc. a obecnie korzysta 59,3 proc., z gazem — 72 proc. Wskaźnik zaspokojenia na izbie spadnie do 1,35 (obecnie wynosi 1,63). Znikną prawie zupełnie zadymiające kominy, wzrośnie i urośnie jeszcze zieleni miejska, powiększą się tereny rekreacyjne, wzrośnie sieć handlowa, no i bezwzględnie, kolosalnie — usługi. To wszystko musi się odbić korzystnie na samopoczuciu łodzian.

M. KULIŃSKI: — Dodam do tego, że samopoczucie u części łodzian „podbudują” również zarobki. Rozwój przemysłu metalowego i elektromaszynowego zmieni nie tylko strukturę przemysłu, ale i zarobków łodzian. Zatrudnienie w tych przemysłach zwiększy się przecież z obecnych 13 proc. ogółu zatrudnionych, do ok. 18 proc. Rozwój chemii i modernizacja przemysłu lekkiego także nie pozostaną bez wpływu na te „demięzną” strukturę. Zmiana struktury zatrudnienia pociągnie zresztą za sobą nie tylko te łatwo dostrzegalne zmiany w poziomie wynagrodzenia, ale także szereg istotnych przemian niematerialnych. Poważnie wzrośnie przecież liczba pracowników wysoko wykwalifikowanych — ludzi o określonych potrzebach kulturalnych, wyrobionych gustach, o określonej mentalności, świadomości... No, ale to już odrębny problem.

REDAKCJA: — Dziękując wszystkim dyskutantom, zakończmy więc naszą rozmowę tym optymistycznym akcentem.

Rozm.: IRENA DRYLL

i ZBIGNIEW FALIŃSKI

ŁÓDZKIE XX-LECIE

ELTA

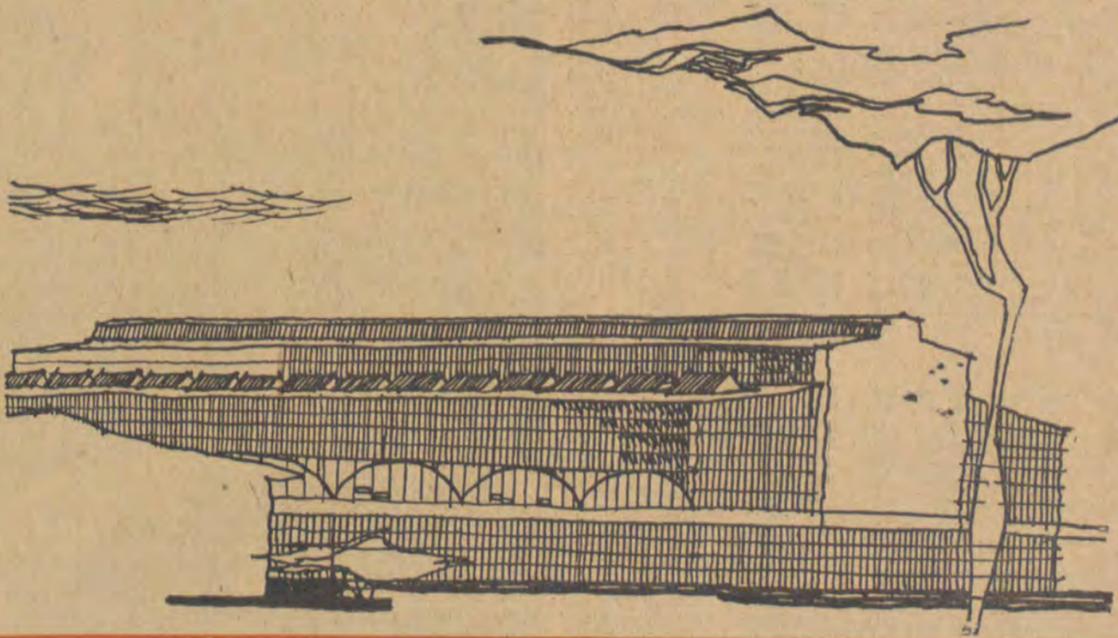
MYŚL: Na skutek szybkiego wzrostu elektryfikacji kraju, na skutek prowadzonej na szeroką skalę elektryfikacji kolei — podjęto budowę tej ogromnej, największej w Łodzi inwestycji biejącej pięcioletki. Dotychczas aparaturę elektryczną i trakcyjną budowano w różnych rozrzuconych po kraju fabrykach.

DANE: Fabrykę uruchomiono w latach 1961-62. Aktualnie zresztą trwa jej budowa. Jest to jeden z największych w Europie zakładów tego typu. Około 20 proc. produkcji kieruje się na eksport.

KADRY: Elta ma zapewnioną współpracę naukową Katedry Maszyn Elektrycznych i Transformatorów Politechniki Łódzkiej. Zatrudnia ponad 400 młodych inżynierów-elektryków, chemików oraz techników.

KOSZT: Około 700 milionów złotych.

Rys. inż. arch. Bolesław Kardaszewski



TOPÓR nad TAI WANIEM

Dalszy ciąg
ze str. 1

trafił pędzić niezgorzany samogon w zwykłym czajniku do gotowania wody na herbatę. Samochody woziły piasek z rzeki pod szyldem spółdzielni a artystyczne rękodzieła dopełniały resztę. To było prawie wszystko na 12 tys. ludzi, więc jeśli ktoś szukał szczęścia, musiał wyprawić się daleko. Ruszali w świat odważniejsi, a potem, gdy listonosze roznosili po Sieradzu listy pełne perspektyw, koleździ odnajdywali się na drugim krańcu Polski i wybaczała wzajemnie to przeczność, to zdradę regionu. Jedną z takich migracyjnych fal porwała Tadeusza Olbińskiego i osadziła w wiosce Miostowice gdzieś w powiecie żarskim. Są tam zakłady ceramiczne, gdzie znalazło przytułek 40 rodowitych sieradzian. Inni upodobali sobie Wałbrzych. Najmłodszy, bardziej już dla przygody z techniką niż dla chleba całym hurmem wyjechali do Adamowa kopać brumalną węgiel. Ci najmłodsi już pewnie nie wróca, ostateczna migracja była ucieczką z powołania. Uplaszali się dobrze jako technicy przy wielkich mechanizmach. Ale inni wrócili i mieli do czego wrócić. Tadeusz Olbiński jest dziś sekretarzem komitetu powiatowego partii w Sieradzu, część miostowickich wygnanów trafiła do „Siry”, inni jeszcze polokowali się w małych przemyślach, które też poniosło na fali powszechniejszej prosperity. Zakłady dziewiarskie odegrały bowiem w całym regionie rolę przysławionego szczupaka w stawie rybnym. Ruch w jednej branży pobudził pozostałe, które aby przynajmniej w części zachować swoje dawne znaczenie i rangę, zdobyły się na jakiś ogromny wysiłek. W ten sposób w północno-zachodniej stronie miasta powstaje coś na kształt zagłębia przemysłowego, w którym wszystkie zakłady lokują swoje inwestycje.

W tym wysiłku zdecydowanym faworytem są zakłady dziewiarskie „Sira”. Są bowiem młode, a żyjemy w czasach gdy przyszłość należy do młodych. Pierwsze wyroby zeszyły z maszyn w pięćdziesiątym piątym, niecały tysiąc sztuk, choć w zasadzie oddano zakład do eksploatacji dopiero w rok później. Produkcja ruszyła przy w pełni zaawansowanej budowie. W jednej części hall terkotały interlokki i maszyny snownicze, a w drugiej jeździł traktor murarzy. Ale groźba omołania dzianina budowniczych pomogła i etapy przekazywania inwestycji przebiegły rytmicznie, zgodnie z nakreślonym planem. W miarę oddawania do eksploatacji poszczególnych działów zwiększała się liczba bezpośrednio zatrudnionych w produkcji, aby osiągnąć magazynową jak na stosunki powiatowe wielkość — 2500 ludzi.

3.

Jest to widomy ślad po każdej budowie — sklecone popiesznie baraki. Murowane, z jedną osią korytarza, tymczasowy przytułek dla ludzi, którzy w decydujących dla Sieradza dniach odkryli swoją szansę. Tu mieścił się hotel robotniczy i stołówka. Jakby rozumiejąc odrębność powodów, które powołały je do życia, baraki obrały kierunek zgoła różny od przyjętego powszechnie w Tajwanie. Jest to zresztą jedyny rzucający się w oczy wyróżnik, gdyż pozornie życie mieszkań-

ców długich, dziwacznych szop wzniesionych z cegły nie różni się od życia obywateli z drewniaków. Lokatorzy Tajwanu tradycyjnie pracują w „Syrze” na potwierdzenie opinii, że zakłady to miasto. W nagłej potrzebie można ustalić jeszcze jedną różnicę — wychodki. Za drewnianymi barakami stoi rząd klozetów zamkniętych na wiele klódek. Przy murowanych jeden, ale ogólnie dostępny. Te zawarte na cztery spusty są symbolem stabilizacji. Ludzie z drewniaków przewidują, że przyjdzie im przeżyć w obskurnych budach pół życia, więc ze szczególnym pietyzmem przejęli się rolą wyznaczoną im przez rozwój wydarzeń. Na odwrót mieszkańcy murowanych szop. Są w ciągłym pogotowiu, gdyż lada dzień przeniosą się do bloków spółdzielczych naprzeciwko „Siry”.

W jednym z takich przejściowych baraków mieszka technik Tadeusz Lużyński. Pracuje w „Syrze” jako inspektor kontroli i nadzoru, stanowisko dające dużą swobodę, toteż poznał zakłady od podszewki. Zresztą młody człowiek z dyplomem technika-mechanika zaczął od prostego ślusarza i zmieniał wiele stanowisk, zanim powierzono mu odpowiedzialną funkcję. Dzięki niemu laik z reporterskim notesem mógł co nieco uchwycić ze skomplikowanego toku produkcji, śledząc losy dzianiny od kotłonu do gotowego wyrobu.

Mimo braku jakichkolwiek tradycji na swoim terenie, Sieradz szybko opanował wiedzę zawodową dziewiarską, a zasadnicza szkoła i technikum włókiennicze stały się najbardziej atrakcyjnymi szkołami. Gorzej było z wykształceniem norm zachowania, które są w produkcji równie ważne jak opanowanie tajników rzemiosła.

Zaloga była i pozostanie mieszana, w zakładzie więc zderzyły się dwie fale ludzkie — miejska i wiejska. Na kilkanaście minut przed zakończeniem pracy zmiana podrywała się i całym impetem waliła do wyjścia nie zważając na nikogo i na nic. Przejścia między oddziałami okazywały się za małe i nawet dyrektor wołał nie pokazywać się na drodze, która ludźmi przebywała w jednej chwili po odgwiezdanu fajeriantu. Kiedyś jeden ze strażników usiłował stanąć na drodze wybiegającego tłumy, ale porwany przez napierającą lawę tylko przypadkowo zawdzięcza, że powalony na ziemię nie został zdeptyany jak pierwsza lepsza liszka. Nawet kobiety ze szwalni gnały jakby sygnał oznaczający zakończenie pracy był alarmem pożarowym.

Trzy lata temu te praktyki urwały się, a zakład jako pięcioletek zdał egzamin dojrzałości. Dzisiaj w pracy nie można ustalić kto mieszka na miejscu, a kto dojeżdża z odległych wiosek autobusami albo rowerami. Mimo że zamiejscowi stanowią ponad połowę stanu osobowego, zaloga „Siry” jest jedna. Dojeżdżających można poznać tylko pod warunkiem, że się zaczął w wacie na rowery i motocykle.

Jedną tylko sprawą dopiekle do żywego pracownikom „Siry”. Brak przedszkola. chociaż zakład zatrudnia blisko 1700 kobiet. Złobek już by matki mogły darować, bo na ogół niechętnie powierzają obcym maleństwu, ale co do przedszkola nie chcą ustąpić ani na krok. W ogóle w nowoczesnym zakładzie przemysłowym daje się odczuć dysproporcja między osiągnięciami automatyki i techniki, a urządzeniami socjalnymi. Ale w ministerstwie coś się zacięło i gotowy projekt domu socjalnego zlatuje z planu. W „Syrze” od kilku lat poszukuje się wyjścia z tej ślepej uliczki.

4.

Ulica Miekiewiczza, przy której ulokowała się „Sira” rzeczywiście zakończona jest ślepo płotem z elementów prefabrykowanych. Parkan odgradza budynek od lak skąd wiatr przynosi chłodne powiewy znaną rzekę.

Zegarmistrz Nowak należy do ludzi dzisiejszych. Mówi tak o sobie, bo czyta gazety i wierzy w moc obowiązującego prawa. Gdy wprowadził się do pokieszowskiego murowańca, w niecały rok po zakończeniu wojny, na „Syrze” jeszcze się muchy nie gonily. Może więc z całym spokojem stwierdzić, że to ide o wcho-

dził jej w drogę. Zegarmistrz Nowak jest dobrym fachowcem. W przeciwnym razie splajtowałby dawno na odludziu, do którego baraki Tajwanu wnosily dopiero nieco ożywienia. Ale klientela ma przeważnie z miasta, nie odstraszyła jej odległość od warsztatu, co jest pewnie dowodem zaufania dla dobrej roboty zegarmistrza.

Pokieszowski murowańca jest dziś własnością zakładów. Wokół budynku porasta trawa i często-gęsto trafiają się kępy krzaków. Są więc dobre warunki dla maluchów i nie dziwnego, że w „Syrze” postanowiono zlokalizować tutaj przedszkole.

Nowak słyszał od ludzi, że go będą wyprowadzać, ale czekał spokojnie. Co jakiś czas odwiedzali go przedstawiciele zakładów. Nie malować, bo i tak zostanie przeniesiony. Zegarmistrz posłuchał wezwania i tak upłynęły dwa lata. Wreszcie sprawy dojrzały i oficjalnie zaproponowano mu lokal zastępczy. Tak samo w murowańcu pokieszowskim, trzydzieści metrów dalej. Sto, dwieście metrów nie robi różnicy, ale zegarmistrz zechciał obejrzeć nowe mieszkanie. Niby wszystko tak samo z istotnym szczegółem. W izbie nie ma okna, a praca przy sztucznym świetle jest samobójstwem dla wzroku zegarmistrza. Można tak pociągnąć parę miesięcy, ale nie więcej.

Od tej pory zaczęła się cicha walka zegarmistrza z „Syrą”, a więc z całym miastem. Ma przeciw sobie w zasadzie wszystkich. W październiku ubiegłego roku wymówiono mu mieszkanie i upłynęło ostatniego dnia grudnia. Ubiegł przymusową eksmisję i na oczach zalogi „Siry” sprowadził komisję z Wydziału Przemysłu. Fachowcy orzekli, że lokal, który mu zaofiarowano w zastępstwie, nie nadaje się do celów rzemiosła. Od tej pory Nowak ma opinię gwałtownika, który siekiera gólowi bronić chudobę i warsztat. Ale Nowak wyznaje zupełnie inną filozofię. Powiada — niech hacza. On się będzie oganiał poprzez odwołania do władz i instancji. „Syrze” potrzebne jest przedszkole, proszę bardzo, wyniesie się w każdej chwili. Ale do lokalu, który nadaje

się na warsztat. Wprawdzie nie jest żadnym partnerem dla pożytecznych zakładów, ale w Polsce istnieje taka sama potrzeba naprawiania zegarków jak produkcja dzianiny. Dlaczego „Sira” ma połączyć jego, ledwie egzystującego zegarmistrza? Dlaczego to właśnie on, Nowak, ma się poświęcić dla dobra dzieci, które bardzo lubi, sam ma syna, skoro ostatecznie nie jest niemożliwością znaleźć odpowiedni lokal? Tyle osób zwalnia mieszkanie i przenosi się do bloków. Nowak jest na tyle dojrzały społecznie, że nie robi ze swojej sprawy tragedii. Wie doskonale, że „Sira” jest awansem dla całego powiatu i wierzy w polubowne rozwiązanie pozornego konfliktu.

Zgoła inaczej odczuli obecność „Siry” mieszkańcy właściwego Tajwanu. Awans jednych wyzwala poczucie krzywdy u innych, których sytuacja nie ulega zmianie. W końcu nie od dziś wiadomo, że kto stoi w miejscu, ten w rzeczywistości cofa się coraz dotkliwiej.

Do tej pory baraki wydawały się ludzimi mieszkaniem znośnymi. Nagle obok wrosły bloki. Pokraczne drewniak stały się w zestawieniu do zamieszkiwania. Później okazało się, że niektóre pójda na rozbiórkę pod zabudowę. Księgowski ma iść na pierwszy ogień. Mieszka tam 9 rodzin, z których połowa pracuje w „Syrze”. Ludzie poczuli szanse przejścia do bloków i postanowili wyzyskać ją jak najkorzystniej. Bloki są spółdzielcze, a to kosztuje wkład i podwyższone komorne. Lokatorzy baraku zdecydowali nie wynosić się z dotychczasowych mieszkań. Trwa więc od miesięcy przetarg ze spółdzielnią mieszkaniową, a jego przebieg można uchwycić w oparciu o zabawy dzieci, które są jedynymi łącznikami pomiędzy zainteresowanymi stronami. Tylko poprzez najmłodszą latoroślę dochodzą do walczącej wzajemnie pretensje. A że dzieci nie zawsze potrafią zachować formy obowiązujące w dyplomacji? Złożono na ich barki doprawdy bardzo ciężką misję, z której wywiązują się jak mogą, jako że najmłodszy

ca mimo wszystko po stronie nowego.

Toteż łatwo przewidzieć, że za kilka tygodni właściwy Tajwan zostanie częściowo przynajmniej rozebrany na deski.

5.

Zdjecie do tej pory przechowuje w albumie. Kazio został utracony w samym garniturku, bo pstrykaliśmy je wiosną. Dziewięć lat temu Kazio mieszkał w drewniaczku przy ul. Wartkiej blisko rynku. W ciasnym mieszkanku gnieździło się pięć osób.

Najpierw wydawało mi się, że tego domku nie potrafię już odszukać. W pierwszej chwili można pomyśleć, że poszedł na rozbiórkę, wyróli rząd bloków. Jakimś cudem drewniak jednak ocalał. Ale Kazio już tam nie mieszka. Od dwóch dni. Rodzina wyniosła się do bloków w osiedlu „Dziewiarz”.

Uderzyło mnie, że dawna sąsiadka rodziny Kazia nie skierowała mnie na Tajwan. Idź pan na Tajwan, tak się tutaj mówilo niegdyś. Wydawało się więc, że „Dziewiarz” i Tajwan leżą w innych punktach Sieradza. W nowo zasiedlonym bloku przekonałem się, że „Dziewiarz” i Tajwan leżą tylko w innych momentach czasowych.

Kazia nie ma w Sieradzu. Kształcił się w Warszawie. Jego brat Jurek, który był wtedy smarkaczem, poznał mnie i nawet gdzieś odnalazł zdjecie. Skończył szkołę zawodową i pracuje w „Syrze” na maszynie osnowowej. Matka Kazia też tam pracuje na potoku, w szwalni.

Podniosłem się, bo nie można przeskakać ludziom w organizowaniu życia. Trzy pokoje wymagają zorganizowania, kiedy się przeszło z małżonką i dziećmi. Jurek też podniósł się, rby na ryby, bo w tych stronach łatwiej wyobrazić sobie chłopaka bez spodni niż bez wędki, ale raczej chciał mnie odprawić kawalek. Na drodze powiedziałem sobie wszystko, chociaż właściwie wiedziałem. Nie ma już Tajwanu, teraz jest osiedle. Ale może przyjdzie czas, że nawet miejsca po Tajwanie nie będzie. Bloki go nakryją.

KONRAD FREJDLICH

ŁODZIANIE Podróżują

JANUSZ LISOWSKI

— Czy śni Pan na Jawie?

— Co najmniej dwa razy w ciągu doby: raz w czasie południowego, z racji piekielnego upału, przymusowego lenistwa, drugi — między trzecią a piątą nad ranem. Wtedy dopiero byłem w stanie zasnąć. I pewnie interesuje Panią o czym śniłem? Otóż o ludziach i sprawach, których w normalnym życiu, tu u siebie, w Łodzi, nie zauważam, o wydarzeniach, do których nie przywiązuję specjalnej wagi. Proszę sobie wyobrazić, że w czasie południowej drzemki, kiedy temperatura dochodziła do kilkudziesięciu stopni powyżej zera, zawsze mający mi się jakieś obrazki z biurą koleżanką, która wyjeżdża ciągle do Afryki i chodzi po pokoju tak jak Pigmalki — ni to chód, ni to taniec, kolega, który przyjmując moje telefony ma brzydki zwyczaj pytania: „a kto mówi?”, itp.

— A co poza snami?
— Bardzo ciekawe umowy handlowe, które podpisałem dla Polski z kupcami indonezyjskimi. No i oczywiście mnóstwo prywatnych wrażeń, m. in. z Jawy.

— Chętnie posłuchamy.

— Wstawiałem komo czwartą, piątą nad ranem, porządkowałem służbowe notatki, robiłem prywatne zapiski. A potem siedziałem na spotkaniu z kupcami. Do dziś pamiętam to przedziwne uczucie wielkiej samotności i pustki na uliczkach z samymi tylko straganami — bez ludzi, na bazarze, na ogromnym placu białym jak pustynia. Uliczki, wielkie place targowe bazarów, stragany, sklepy, wszystko to zaczyna żyć dopiero przed wieczorem. Z tym, że przy świetle dnia, tylko na dwie, z górą trzy godziny. Dzień na Jawie kończy się koło szóstej wieczorem. Potem ludzie spacerują, kupują, jeżdżą rykszami już przy świetle naftowych kaganców, karbidówek i rzadziej — elektrycznych latarek. Wygląda to nawet przyjemnie, ale Europejczyk, nie przyzwyczajony w zasadzie do poruszania się z szybkością stu metrów na godzinę — traci po kilku dniach cierpliwość. Indonezyjczycy, właśnie wieczorem mają zwyczaj zalać wszystkie sprawy — i to konieczne na ulicy. Ulice, place roją się wtedy dosłownie od mrowia ludzi, wszyscy krzyczą: kupecy do klientów, klienci do kupców, sąsiedzi do sąsiadów itd.

— Pewnie wiele przy tym kłótni? W takim foku.

— Otóż nie. Aż dziw mnie brał, jak ci ludzie potrafia na różnego rodzaju szturchnięcia, popychanie — reagować. Trudno uwierzyć, ale oni wtedy uśmiechają się, naprawdę, i nie mają do nikogo pretensji.

— Wielce pouczające, m. in. dla łodzian korzystających ze środków komunikacji miejskiej. Ale nim się pożegnamy, niech Pan powie, bardzo proszę trzy słowa o Jawajkach.

— To już nie są zwyczajne kobiety, te, które spotyka się na ulicach Bandungu. To najwspanialsze, wymodelowane posażki „ożywione” czarodziejską mocą i sprowadzone na wyspę. Nieczęsto w świecie, na różnych kontynentach, spotkać można tak piękne kobiety.

Rozmawiała:

J. B.



KUCHNIA XI MUZY

Uwaga! Sprawdzam interkom.
— Jedyńka mnie słyszy? Dwójka mnie słyszy?
— Telekino mnie słyszy? Inspicjent mnie słyszy?
— Zaczynamy. Staart!!!

W momencie gdy realizator wizji sprawdza działanie wszystkich urządzeń i połączeń, w studio cała ekipa realizatorska zajęła swe stanowiska: — Operatorzy przy kamerach ze słuchawkami na uszach, inspicjent w helmie (słuchawki + mikrofony) do porozumiewania się z reżyserką, sprawdza czy wszyscy uczestnicy audycji zajęli swe miejsca. W momencie gdy w słuchawkach zabrzmiało słowo: Start! inspicjent da znak na rozpoczęcie, aktor zaczyna mówić, kamery ruszają z miejsca, asystenci podciągają kable za kamerami, a wszystko to w absolutnej ciszy, w której rozbrzmiewać ma prawo jedynie tekst sztuki i przewidziane efekty dźwiękowe, gdyż niezmiernie czule mikrofony pochwycają i spotęgują najcisze nawet szmery i zakłóca czystość odbioru. Wysoko na specjalnym wózku pracuje mikrofoniarz, który podjeżdża „żurawiem“ (mikrofon na długim ruchomym ramieniu) do mówiącego aktualnie aktora.

A w reżyserce pochyleni nad długim pulpitem pełnym guzików, pracują gorączkowo: realizator wizji, światła, dźwięku, no i oczywiście reżyser. Są połączeni ze studiem interkomem, za pomocą tego urządzenia reżyser kieruje kamerami, realizator dźwięku — mikrofonem. Realizator światła czuwa nad każdą sceną i przez naciśnięcie odpowiedniego guzika na swym pulpicie dodaje lub ujmuje światła w odpowiednich momentach.

W atmosferze pełnej napięcia przebiega realizacja spektaklu telewizyjnego. Ale jak się to wszystko zaczyna? Przecież nie od razu wchodzi się do studia i gra.

A więc na początku było słowo — to znaczy tekst sztuki. Zaakceptowany do programu przez redakcję artystyczną przechodzi do rąk reżysera. Ze sztuki trzeba zrobić scenariusz — to pierwsza faza pracy reżysera — rozbić poszczególne sceny tekstu na ujęcia kamerowe, bardzo dokładnie omawiające, co w danym momencie, na danym tekście pokazuje kamera, kiedy jest cięcie czy przenikanie na drugą kamerę, zbliżenie czy plan ogólny i tak scena po scenie.

Gdy scenariusz gotowy — rozpoczynają się próby z aktorami. Pierwsza faza przypomina pracę w teatrze. A więc analiza i interpretacja tekstu, próby stolikowe. Lecz na próbach sytuacyjnych już wkracza specyfika pracy telewizyjnej. Sytuacje komponuje się pod kątem „kadrów“.

Zanim reżyser i aktorzy przejdą do prób studyjnych, równocześnie pracuje cały sztab ludzi nad przygotowaniem studia do spektaklu TV. Pracownicy pod nadzorem scenografa i według jego projektów, wykonują dekoracje, zespół techniczny — urządzenia do efektów dźwiękowych i wizyjnych.

kierownik muzyczny — nagrania i ilustrację muzyczną.

Surwele elementy dekoracji ze stolarni przechodzą do rąk malarza i modelatora, by przy pomocy faktur, stłuków, zestawień tonów i kolorów, przeobrazić się w misterne rzeźby, lub zmurzane pnie drzew, kolumnady pałaców, lub strzechy wiejskie.

Dekoracja ustawiona. Studio przygotowane do prób kamerowych. Reżyser zasiada przy monitorze (ekran kontrolny), za jego plecami rozgrywa się akcja sztuki, on patrzy w ekran, tu koryguje sytuację i komponuje obrazy poszczególnych scen, ustala z operatorami ujęcia, by następnie na ostatnie już próby zasiąść w reżyserce przy konsoli z całym zespołem realizatorskim. Przed nim — na pięciu ekranach pięć różnych obrazków: jeden z telekina, na trzech — obrazy, każdy z innej kamery, a na ostatnim jest to, co pójdzie na antenę. Teraz trzeba z czterech ekranów wybrać obraz właściwy i w odpowiednim momencie wmkosować go na ten płaty właściwy ekran. Ta praca wymaga wielkiej uwagi i ciągłego napięcia nerwowego, a niekiedy i błyskawicznej decyzji. Zdarzają się przecież i rzeczy nie przewidziane, jakieś potknięcie, pomyłka, przewrócił się mebel, czy aktor nagle zapomni i zamiast w lewo odejść w prawo, trzeba wtedy zaimprowizować, przetrząść obraz na inną kamerę niż było ustalone. Tu musi działać bezbłędnie refleks i czujność całego zespołu. Operator błyskawicznie orientuje się co trzeba pokazać, inspicjent musi coś usunąć z pola widzenia, (choćby ten przewrócony mebel), nieraz musi się czoiżyć, by nie wejść w obraz kamery.

Kiedyś w momencie rozpoczęcia audycji, gdy obraz już poszedł na antenę, kamera pokazywała ogólny plan i nagle czuwający z boku, a nazbyt gorliwy charakterystyczny, podbiegł do jednego z aktorów, by poprawić jakiś szczegół w jego wyglądzie i. nie wiedząc o tym znalazł się w środku akcji i na ekranach wszystkich telewizorów. Sytuacja nie do uratowania. Reżyser wyciemnia obraz rozpoczyna jeszcze raz od nowa. Można sobie wyobrazić ile nerwów kosztuje taki moment, a jednocześnie ile opanowania i zimnej krwi, potrzeba by spokojnie i natychmiast ratować sytuację.

Zadna chyba praca, nie jest tak jak w telewizji zależna od zgrania i talentu całego zespołu realizatorskiego. Ktoś powie może, że na film składa się nie mniej czynników i nie mniejszy zespół twórczy. Zapewne, z tą jednak zasadniczą różnicą, że filmu nie tworzy się na gorąco, wszystko tam nagrywa się na taśmę, a to pozwala na korektę błędów i wybranie najlepszych ujęć, powtarzanych nieraz wielokrotnie zanim uzyska się to najlepsze. W telewizji przeciwnie, wszystko idzie „na żywo“, a to wymaga tak od aktorów jak i realizatorów maksimum wysiłku, skupienia uwagi i woli. Świadomość, że żadnego błędu nie da się już naprawić, że zarejestrują go bezlitośnie kamery i mikrofony, sprawia, że pracuje się tu w najwyższym napięciu nerwów, mobilizuje się wszystkie siły, całą uwagę i ambicję, by w ciągu tych krótkich chwil, w blasku potężnych reflektorów stworzyć wspólnie obraz jak najlepszy i najczystszy i o najwyższej jakości artystycznej. A jeśli mimo to, czasem coś nie wyjdzie, to już sprawa złośliwych przynadków, czasem tremy czy nerwów i nieuniknionych ludzkich pomyłek, usprawiedliwionych przy tak trudnej i odpowiedzialnej pracy twórczej.

IRENA ŻUCHOWICZ

OD REDAKCJI:

Oto relacja z przebiegu jednego roboczego dnia w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej w Łodzi. Zdarzenia zostały utrwalone w notatniku studenta tej uczelni na bieżąco, prawie trzy miesiące temu. Drukujemy jedną kartkę notatnika w przeświadczeniu, że Czytelnicy „Odgłosów“ łatwo ustalą co należy do stałych zasad pracy szkoły, a co związane jest z karysem kalendarza.

9.05. Jestem spóźniony. Wpadam do szkoły z poczuciem własnej winy. Z „dwójki“ dobiega głos profesora. Wykłady, stąd ta pozorna pustka na korytarzach, stąd ta cisza. Wpadam do stołówki. Afanasjew już jest, nie słyszę jednak ani słowa wyrzutu za spóźnienie. Siadam obok niego przy stoliku. Jesteśmy sami. Praca nad etudą, która jest obowiązkiem studenta każdego roku, zwalnia od uczestnictwa w ćwiczeniach i wykładach.

— Nie rozbieraj się — mówi Jurek. — Zaraz jedziemy po rekwiizyty.

Potulnie, bez słowa zgadzam się. Wstyd mi się przyznać, że nie zdażyłem zjeść śniadania. Z baru, kusząco pachną jak na boczku. Wstaje śpiesznie z obawy, że nie potrafię się oprzeć.

— Jedziemy — mówię.

9.30. Rekwiizytoria w Wytwórni Filmów Fabularnych „robi“ wrażenie. Jest tutaj dosłownie wszystko, zaczyna się od śmiechnych secesyjnych sztuków, do karety z herbami. Wybieramy wszystko co nam trzeba, a potrzebujemy bardzo dużo: kompletne urządzenie starego mieszczańskiego mieszkania, pistolety maszynowe, helmy niemieckie, cała masa rzeczy, których obecność w filmie trzeba było uwzględnić wcześniej.

— Znajdziemy resztę w teatrze „Jaracza“ — mówię.

— Ty sam — odpowiada Jurek. — Muszę być w szkole, umówiłem się z aktorami.

Kiwam głową i patrzę na zegarek: dobiega druga. Afanasjew zrobił to samo. Uśmiechamy się do siebie. Cholernie ten czas leci. Jest jeszcze masa rzeczy do zrobienia.

14.00. Marysja. Nasze atelier, okno na świat szkoły, nie, to źle powiedziane. Wszyscy patrzą na filmy, które powstają właśnie w tym małym niepozornym budynku, jest to raczej, scena na którą wszyscy patrzą. Przywiozłem ze sobą część gratów. Wchodzę na halę — miejsce przyszłych zdjęć. Stuk młotków, zgrzyt piły, pachnie farbą klejową, jak w świeżo odnowionym mieszkaniu. Dekoracja jest już na ukończeniu, stare mieszczańskie mieszkanie. — Noż — krzyczą robotnicy. Wycieram starannie nogi i dopiero wtedy wchodzę do dekoracji. Zdaje mi się przez moment, że panuje cisza, przy drzwiach pali się ostrzegawcze czerwone

światło i słyszę sakramentalne słowo „kamera“, znak, że zdjęcia się rozpoczęły. Ale dzieła nas jeszcze dwa dni. (Czy już tylko dwa dni). Wnoszą rzeczy, które przywoziliśmy. Rozstawiamy je pieczołowicie, tak samo jak na czarno-białych planszach, na które co chwila zerkam, a przedstawiającymi wygląd przyszłego mieszkania. Roz-

ce“ czekają na mnie Afanasjew i operator.

— Jak na Marysinię? — pyta Jurek.

— Wszystko gra — Uspokajam. Jurek kiwa niedowierzająco głową. Chrzakam ostrzegawczo. Dopiero teraz robi wrażenie uspokojonego. Wsiadamy do samochodu, jest z nami kierownik zdjęć —

DZIEŃ JAK CO DZIEŃ

głędam się uważnie. Chyba wszystko w porządku. Tak, na pewno. Mało czasu, a na dzisiaj jeszcze parę spraw do załatwienia. Wsiadam do szkolnej „Nyski“.

— Do szkoły — rzucam kierowcy.

15.30. W szkole. Ani Afanasjewa, ani operatora. Zignoruję gdzieś. Pytam wszystkich napotkanych. „Jest, jest, widzieliśmy, gdzieś na terenie“, i już ich nie ma. Z ciężkim sercem zaczynam szukać. Co najmniej kilkanaście zakamarków, pracowni, sal wykładowych, gdzie może ukrył się Jurek. Klub zamknięty — drugi rok reżyserki ma zajęcia ze sztuki aktorskiej. Odcinając jak mogę najciszej, od drzwi. Odrobina głosu, mój podnieśnięty głos. Chłopcy wcieleni w Ballmaeyra i Dawesa (ci od Brandysa) prowadzą sceniczny dialog. Pietro wyżej. W bibliotece go nie ma. Jeszcze wyżej. Nisko buczą przetworzone. Tu rezyduala „oszuści“ filmowi, którzy ożywają rytmami, wycinanki, lalki, deformują czas i przestrzeń, w żmudnym trudzie, sekunda po sekundzie. Uchylam drzwi.

— Ostrożnie — krzyczy ktoś z wewnątrz.

Cierpliwie czekam. Otwieram drzwi.

— Przeciąg — wyjaśniała lakonicznie. Na stole trójkowym (narzędzie „oszustów“ kolorowe plansze, wycinanki. Cały film, tyle że nie ożywiony.

— Afanasjewa nie ma? — Utwierdzam się.

Biegnę na dół. Przy „Nys-

pracownik przydzielony przez szkołę, w celu zapewnienia nam optimum warunków pracy. Dopiero gdy jesteśmy za bramą, uprzytamniam sobie, jak bardzo jestem głodny. Widocznie, głód miałem w oczach, bo Jurek bez słowa wyciąga z czeluści swojej czarnej teczki kanapki. Pa-

UJ. 12. PLAN OGÓLNY.

Jeden z policjantów bawi się z żydowskim dzieckiem, rzucając kulami śnieżnymi. Mała dziewczynka nieśmiało uśmiecha się, próbuje odrzucać kule śniegowe. W kadrze wchodzi granatowy policjant, pozostali Żydzi, jeden Niemiec.

beztroski śmiech dziecka

UJ. 13. PLAN AMERYKANSKI.

Podchmielony Niemiec stawia pod ścianą masiorek i zrabowany zegar.

mamrotanie Niemca

UJ. 14. (JAK W 12).

Pod ścianą tyłem do kamery stoja Żydzi. Jedyne nie rozumiejąca chwili dziewczynka odwrócona przodem, uśmiecha się i chce bawić się śniegowymi kulami. Policjant krzyczy do skrzypka. Płynie melodia Niemiec chwytając się, przykleka na jedno kolano

Policjant — gra...
muzyka skrzypiec

Ktoś krzyczy. Unoszę głowę. Machają do mnie rękami. Podnoszę się ciężko, zimno jest solidnie. Brnie w śniegu w ich stronę. Wsiadamy do samochodu.

18.00. Jest już prawie ciemno, gdy docieramy wreszcie do szkoły. Na podwórku gorączkowy ruch, inna ekipa szkuje się do wyjazdu na plan. Do „Blekitnej strzały“, tak studenci nazywają jeden z samochodów szkolnych, ładuje się pośpiesznie sprzęt kamery, statywy, kable, lampy, magnetofon, inaczej mówiąc setki drobniaków, tak bardzo później potrzebnych. Często zdarza się, że trzeba robić zdjęcia w nocy, ady wymaga tego akurat temat filmu. Tak jest i tym razem. Kolega z drugiego roku (ten sam, który kilka rodzin wcześniej był Ballmaeyrem) robi film dokumentalny o pracy milicji.

Dzisiaj 29 lutego. Składnad wiadomo, że najbardziej niepokojnymi chwilami w życiu Łodzi, są późne godziny wieczorne, dni wypłat soboty. Nasz kolega pamięta o tym i dlatego jedzie na zdję-

cia właśnie dzisiaj. Doczepiają jeszcze zwalista skrzynie agregatu i samochód rusza. Podnosimy kulki na szczęście. Widza to i wesoło odma-chują. Jednak gdzieś głęboko na dnie serca, tli się onik nienokoju: jak dzisiaj pójdzie, czy wszystko się uda?

— Warto jeszcze dzisiaj zobaczyć jakąś projekcję — proponuje Jerzy.

Jestem bardzo zmęczony, zmarnieję. Wleczeni się w stronę sali projekcyjnej. Aparat już terkocze. Mroczna, dynamiczna muzyka brzmi w korytarzu. Przewieszamy kroku. Leć „Straż przyboczna“ Akirv Kurosawy. Trudno się oprzeć, sadowie się więc w fotelu.

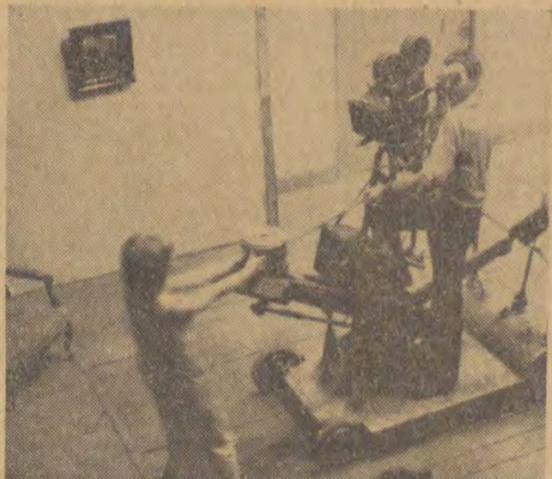
Kilka minut po dwudziestej. Szkoła powoli pustoszeje. Zegnamy się z Afanasjewem.

— Jutro o ósmej w Wytwórni — mówi Jerzy.

— W porządku — odpowiadam.

Jeszcze jeden z zwykłych dni szkolnych, łobjęgi końca. Jutro nas spotka podobny do dzisiejszego, a jednak inny.

WOJCIECH WOJCIK



Najazutrz przed południem w mieszkaniu Marty „urzędował” Michał. Chodziło o to, aby ktoś czuł przy telefonie. Na wszelki wypadek. Mogła przecież w każdej chwili napłynąć jakaś wiadomość o Zbyszku, względnie od niego samego. Korzystając z samotności Michał zasiadł w gabinecie i zagłębił się w lekturze. Wkrótce zapomniał o całym świecie, i nie od razu usłyszał, że ktoś uprzączywie dzwoni do drzwi wejściowych. Toteż Małgosia była już przy furtce, gdy poderwał się z fotela i wyrzwał przez okno. Poznał ją natychmiast i zawrócił gromkim „hale”.

Weszła do hallu z pewnym wahaniem, a tak była zmieniona na twarzy, tak przerażenie biała, że, o nie nie pytając, zdjął z niej spiesznie płaszcz i wprowadził ją do gabinetu.

— Ja do pani Marty — bąknęła, siadając na brzeжку tapczana.

— Pani Marty nie ma, ale jestem ja i pani mnie powie, co się stało.

Małgosia dłuższą chwilę spoglądała Michałowi prosto w oczy. Mogłoby się здаwać, że próbuje go ocenić pod jakimś, sobie tylko wiadomym, względem, Michał zdał sobie z tego sprawę i cierpliwie czekał.

— Tak, może to nawet będzie lepiej — zdecydowała się wreszcie. — Pani Maria jest chora na serce — dodała jakby na usprawiedliwienie swej decyzji.

— A więc — proszę mówić. Słucham uważnie.

— Ja wiem, dlaczego Zbyszek uciekł — zaczęła energicznie, ale nagle załamała się, zakryła twarz obydwoma rękoma i wyszeptala:

— To takie straszne!

— Pani jest dzielną dziewczyną, Małgosiu, i na pewno...

— Nie. Chodzę już z tym trzy dni i właśnie nie miałam odwagi...

— Ale teraz ja pani ma. A ja słucham dalej.

— A więc... Parę dni temu otrzymaliśmy z mamą z zagranicy paczkę. Od mojej ciotki... I w tej paczce było futro. Dłgie, Nylotowe, ale wyglądało na prawdziwe popielice... Miałam je zanieść do krawca... żeby skrócił. Tego dnia bardzo się ochłodziło, włożyłam je więc na siebie...

— Włożyła je pani na siebie. Dalej?

— Krawiec mieszka na ulicy Dantyszka. To jest mała uliczka, że oświetlona... wieczór był ciemny... szłam sama... o niczym takim nie myślałam... ale w pewnej chwili...

— W pewnej chwili, Małgosiu?

— Usłyszałam odgłos czyichś jak gdyby skradających się kroków poza mną... nie zdażyłam się nawet odwrócić, gdy dwie pary rak objęły mnie od tyłu, rozpięły guziki płaszcza i ściągnęły go ze mnie. Złapałam jednak przytrzymałam jedną nogę. Wtedy... ktoś trzeci zabiegł mnie od przodu i uderzył po rękę. Zabolalo mnie tak mocno, że rozluźniłam uchwyt. Ten trzeci napastnik roześmiał się i zaswiecił na moment latarkę... proszę pana... Zbyszek ma bardzo charakterystyczną oprawę oczu... w tym jednym błysku latarki poznałam go i...

— Trzeba dokończyć, Małgosiu — poprosił Michał serdecznym tonem, gdy urwała na tym „i” i wydawało się że nie powie nic więcej. Dokończyła jednak:

— I krzyknęłam: „Zbyszek!” Wiem, że nie powinna byłam tego zrobić, ale... zdumienie moje było tak wielkie...

— A on pania poznał?

— Nie wiem, nic więcej nie wiem. Bo w tej samej sekundzie latarkę zgasił.

— Co było potem?

— Usłyszałam tylko jeszcze tupot nóg... Uciekali chodnikami... Stalam jak skamieniała. Kiedy wreszcie spróbowałam ruszyć z miejsca, zaplątałam się w coś, co leżało na ziemi. To było moje futro. Rzucili mi je pod nogi. Załowałam, że go nie wzięli. Byłoby lepiej... tak lepiej, żeby je wzięli...

— To rzeczywiście straszne wydarzenie — westchnął Michał.

— I co się z nim teraz stanie? — wykrzyknęła rozpacze Małgosia. — Co on ze sobą zrobi? dokąd pójdzie?

— Michał spojrzął na Małgosię z uznaniem. — Czy prócz nas obojga wie jeszcze ktoś o tym... zdarzeniu?

— Małgosia zaprzeczyła gwałtownie.

— Nie, Miałam jeszcze nadzieję, że on mnie nie poznał. Dopiero kiedy się dowiedziałam, że znikł...

— Wczoraj była tu jego matka. Na szczęście odradziłam jej poszukiwań przez milicję. Nie wiem jak się zachowa Bogda. W każdym razie jej trzeba powiedzieć prawdę. Inaczej nie przesłanie go szukać i może tym jeszcze pogorszyć sprawę.

— Czy pan myśli, że ona... że należał do jakiejś bandy?

— To jasne, ale jednocześnie i najgorsze w tym wszystkim.

— Gdyby go jednak odnaleźć...

— Po co?

— Może udałoby się go odwieść od... jakoś pomóc... Nie można przecież opuścić go w takiej chwili... w takiej strasznej chwili... proszę pana...

I tu Małgosia rozplakała się jak małe dziecko, któremu wyrządzono krzywdę przerażającą jego wyobraźnię.

— Nie płakać, Małgosiu, nie płakać. Naturalnie będziemy usiłowali mu jakoś pomóc — próbował pocieszać bez przekonania Michał. Swą dużą, miękką chusteczką osuszał gradem ciekawce lzy dziewczyny, gdy nagle ktoś ostro zadzwonił raz, drugi, trzeci...

— Tam co znowu — mruknął z niechęcią, a widząc przestrach w oczach Małgosi od razu zdecydował: — Zostań tu. Ja sam pójdę otworzyć.

Pierwsza weszła do hallu Bogda, za nią — Jurek. Oboje byli nie tylko wzburzeni, ale jak gdyby i przerażeni. To się rzucało w oczy. Michał o nic nie pytał ciekając na ich samorzutne wyjaśnienia. Aż Bogda bez słowa, nie zdejmując płaszcza, siadła od razu w hallu na foteliku tak ciężko, jak człowiek śmiertelnie znudzony. Wyjechała też



zaraz z torebki papierosa i zapaliła go, zaciągając się głęboko. Jurek trzymał w ręku „Express Wieczorny”, jak niewprawy bojowiec granat. Odpowiadając na nieme pytanie Michała powiedział z nienaturalnym spokojem: — Już go złazeli! Michał sięgnął po gazetę. No, tak, w rubryce wypadków, pod tytułem „Samobójstwo, czy porachunki chuliganów” — notatka: „Wczoraj wieczorem MO, patrolując zarośla parku przy ulicy Filtrowej

darząc „go” zaufaniem, co? Bo ty się znasz na typach występnych. Marta, po zażyciu środka nasennego, spała mocno chociaż niespokojnie. Zbudzona gwałtownym wtargnięciem Bogdy, nie mogła w pierwszej chwili pojąć, o co jej chodzi. Wpatrzona w gwałtowne oczy córki z trudem wzięła w jakąś logiczną całość zdania rzucane jej z pasją niby kamienie pod nogi. — A ja dalej nie wierzę, rozumiesz? Małgosia mogła się omylić, Małgosia — to dla mnie żaden autorytet. Nie mam najmniejszego zaufania do jej „orientacji”, roz-

— O ile wiem wszyscy macie stypendia, to znaczy prócz ciebie: Jurek, Maciek, Baśka... W takich wypadkach robi się składkę. — Ci rodzice nie nie mówili o pieniądzach. — To zupełnie naturalne. Do was należało zapytać. — Jak by potrzebowali, to by powiedzieli. — Powiedziałby, albo nie. Nie będziemy zresztą nad tym dyskutować. — Bardzo słusznie. Pogrzeb jest o 15-ej. Na Bródnie. Możesz mi dać na taksówkę? — Nie chcesz jechać ze mną i z Michałem? — Nie. Spokamy się na ementarzu. — Jak uważasz. A tu, proszę — pięćdziesiąt złotych. Kwiaty zamówiłaś? — Jakie kwiaty? — No, jakaś wiązankę na trumnę. — Nie. Po co? — Myślałam, że chowasz swego przyjaciela. — Nie wiem kogo chowam. — Ach, jednak. — Co ci zależy na tych kwiatkach? Chodzi może znowu o „dobre wychowanie”, co? — Po prostu myślę o tej nieszczęśliwej matce. — Nie żał ci Zbyszka, tylko jego matki? — Mniej więcej tak to wygląda. — Bo ty jesteś ta sprawiedliwa. — Nie, Bogdo, jestem tylko już także nieszczęśliwa... — Ty — nieszczęśliwa? — Przerwijmy tę rozmowę. I tak ktoś dzwoni. Idź, otwórz...

PIERWSZA RUNDA

(Fragment powieści Zorii Lorentz pt. „Może się jeszcze odmienić“)

natknęła się na wisielca, którym okazał się dwudziestoltni Zbigniew Nieczuła. Sposób zaciągnięcia sznura, jak również miejsce umocowania go na galezi budzą wątpliwości, czy powieszenia mógł dokonać sam delikwent. Wygląda to raczej na morderstwo, toteż Milicja wszczęła natychmiast dochodzenia...

Bogda śledziła uważnie wyraz twarzy Michała podczas czytania notatki. Gdy skończył i zaczął składać gazetę, powiedziała, zacinając się lekko:

— Nie mogę zrozumieć nagłówka. Jakich porachunki i dlaczego porachunki „chuliganów”? Jeżeli nawet — jak się okazało — Zbyszek nie był już studentem, to... czy musiał być od razu chuliganem?

— Reporter sugeruje, że Zbyszek należał do jakiejś bandy. A — jak wiadomo — między członkami band zachodzą nieraz krwawe porachunki, których źródłem bywa zemsta lub strach przed wydaniami.

— Ja odnajde tego reportera, słyszysz pan? Odnajdę i jego morderców. Nie wierzyście? Normalny w pierwszej chwili głosił Bogdy przeszedł nagle w historyczny krzyk.

— Bogda, uspokój się — Jurek podbiegł do niej i chwycił ją za obie ręce, wytracając z nich naciągany papierosa. Ale Bogda odepchnęła go brutalnie i zerwała się z fotela?

— Gdzie mama? Ona przecież zna się na mordercach. Gdzie ona jest? Będzie mi potrzebna.

— Tam jej nie ma — wyjaśnił szybko Michał, ale Bogda weszła już do gabinetu.

— Co ty tu robisz? — spytała ostro Małgosia. — Po czym nie czekając na odpowiedź — dodała: — nie widziałam cię całe trzy dni... te ostatnie trzy dni, kiedy wszyscyśmy szukali Zbyszka, wszyscy prócz ciebie...

— Małgosia jest chora — przerwał Michał.

— Panie Jurku, proszę odprowadzić Małgosię do domu. A ty, Bogda, siadaj. Mam z tobą do pomówienia.

— Nie mam wcale ochoty na rozmówki z panem w tej chwili...

— Panie Jurku, proszę, tu są pieniądze na taksówkę. Przedaj — dodał, widząc znów przestrach w oczach Małgosi.

— Jurek mnie jest potrzebny — zaproponowała gwałtownie Bogda, ale Michał wypchnął tamtych dwoje niemal siłą za drzwi, zatrzasnąwszy je za nimi.

— Co to ma znaczyć? — warknęła Bogda — i jakim prawem...

— Przeszła — przerwał jej Michał — ktoś ci to musi powiedzieć, więc może będzie lepiej, że ode mnie usłyszysz tę żalostną prawdę. Siadaj! Masz papierosa? Nie? To zapal mojego. No, już. I wiesz się teraz w cugle, bo pierwszą rundę zwyciężyła przegrała.

— Jaka rundę? Czego pan ode mnie chce?

— Będę mówił skrótami. Uważaj!

DOWÓD

Bogda weszła do pokoju matki nad ranem, gdy ledwo szarzało. Przedtem odmawiała wszelkiego zbliżenia czy rozmowy. Weszła oczywiście z papierosem w ustach i w nie zapętej piżamie. Siadła na taborecie podwinawszy stopy pod siebie i bez żadnego wstępu przystąpiła do ataku.

— Triumfujesz, co? że miałaś rację, nie

miesz? Jest mało spostrzegawcza. Często bywa zamyślona i nie wie, co się wokół niej dzieje. Mogło jej się zdawać. Przecież sama przyznała, że wtedy było już ciemno i, że całej twarzy napastnika nie widziała. Mówiła tak, czy nie? A że go zabił? Mój Boże, każdy może mieć wrogów. Każdy może mieć jakieś zawiłe sprawy, nieznaną nawet najbliższemu. Może mieć, czy nie?

— Może — Marta zdobyła się wreszcie na wydobycie głosu.

— No, więc sama przyznajesz. I jedna sprawa z drugą nie ma nic wspólnego. To Małgosia je powiadała. Ta dziewczyna ma chorobliwą wyobraźnię. Co tak na mnie patrzysz? Ja żebym uwierzyć, muszę mieć dowód, rozumiesz?

— Jaki na przykład?

— Zwyczajny. Jakis najwzyczajniejszy dowód rzeczowy. Ty się przecież znasz na kryminalnych sprawach.

— Czasem wystarczy świadek przestępstwa.

— A jednak ona nie chciała iść na milicję.

— Bogda, czy ty doprawdy nie rozumiesz, dlaczego tego nie zrobiła?

— Ze szlachetności, co? Z litości nade mną, nad nim, może nawet nad tobą? A na pogrzeb iść nie chce...

— Dlaczego mówisz nieprawdę? To Michał nie pozwala jej pójść i wyjaśnił chyba dość wyraźnie wam wszystkim, dlaczego?

— Ze mogłaby ją rozpoznać tamci dwaj, co śniagnęli z niej to przekleństwo futro? A gdyby nawet, to co takiego? I skąd pewność, że przyjdą na pogrzeb? A w ogóle kto w tej całej sprawie jest „poszkodowany”? Ja, czy Małgosia?

— Małgosia nie jest wcale mniej rozpaczona niż ty, tylko inaczej.

— Nie jestem ciekawa różnicy, jaką łaskawie dostrzegasz. Chciałam się jedynie dowiedzieć, czy weźmiesz udział w pogrzebie?

— Jakże mogłabym cię opuścić w takiej chwili?

— Och, do czego nie będziesz mi potrzebna. Tak tylko chciałam wiedzieć. A ten twój Michał?

— Michał będzie mi towarzyszył.

— No, to ja się jeszcze położę. Licho co spałam.

Ostatnie słowa zabrzmiały, jak wyjaśnienie tej wczesnej wizyty. Gdy dziewczyna wyszła, Marta poczęła się zastanawiać, ile w postawie, jaką zajęła Bogda, jest uporu, a ile tchórzostwa.

Potem, przy śniadaniu, zapytała o wynik wczorajszej wizyty Bogdy i Jurka u rodziców Zbyszka.

— Przecież zabroniliście, ty i ten twój Michał, wtajemniczać ich w tę hecę Małgosi.

— Chodź mi zupełnie o co innego.

— O co?

— Czy podali mi listy rysopis tych dwóch koleżek, jacy do niego przychodzili?

— Podali.

I czy zainteresowali się o stronę finansową pogrzebu?

— Jak to?

— Po prostu: czy upewniliście się, że ci ludzie mają Zbyszka za co pochować?

— Nie, przyszło nam to na myśl.

— Szkoda.

— A zresztą, czy my mamy jakieś pieniądze?

W kaplicy ementarnej na Bródnie zebrała się nieliczna gromadka żalobników: parę osób rodziny, trochę najbliższych sąsiadów, kilku kolejarzy — kolegów ojca Zbyszka...

Prócz nich — „przyjaciele”: Bogda, Jurek, Maciek, Baśka i Hela, a dalej Maria z Michałem. I jeszcze dwóch jęzemiści ide należących do żadnej z wymienionych grup, (według zdania Michała — mogli to być tajniacy). Do grobu szło się, a szło, gdzieś w odległy koniec ementarza. Lecejący ksiądz nie przypieszał kroków. Zapadał wczesny wieczór końca października. Gdy kondukt ruszył z kaplicy, na zachodniej stronie nieba widać było jeszcze krwawe ślady zachodzącego słońca, ale z głębi ementarza podnosiły się już mgły. Pod nogami idących szeleściły opadłe liście. Nikt nie rozmawiał. Nastroj przygnębienia i żalu ogarnął nawet najmniej wrażliwych. Trudno było nie myśleć o tym straszliwym końcu ledwo zaczętej młodości, zadecydowanym przez kogoś niewiadomego, na pewno jednak najmniej powołanego do tak ostatecznego wyroku.

Gdy doszli wreszcie, wszystko dalsze przybrało szybsze tempo. Grabarze zwiłaj się sprawie. Widać było, że zmierzli czekając dość długo na trumnę i, że im teraz pilno skończyć robotę. Także ksiądz odmówił popiesznie swą przepisową modlitwę i rzuciwszy garść ziemi na spuszczoną już do dołu trumnę — odszedł, żegnając nieboszczyka znakiem Krzyża Świętego.

Ale zakopanie trumny i uformowanie grobu wymagało dłuższego czasu, toteż na niebie gasty już ślady słońca, a mgła podszedła bliżej zanim spoceni grabarze usunęli się na boki, odsłaniając swe gotowe dzieło.

I wtedy skądś z głębi ementarza, z tej podsuwającej się coraz bliżej mgły, wyłonił się nowi żalobnicy. Było ich kilkunastu. Wszyscy bardzo młodzi, wszyscy z gołymi głowami, ostrzyżonymi krótko i z gzywnką, wszyscy w wazutkich spodniach i workowatych swetrach. Podczas gdy cała kwatery ementarza otaczał szerokim półkolem, dwóch oderwało się od gromady i szybko podszedli do grobu i złożyli na nim dużą wiązankę czerwonych goździków. Zatrwali to błyskawicznie i natychmiast zmierzali się z resztą, która wyciągnawszy się teraz w długiego węża rozpoczęła dziwać dziładek: gwałtownie okrążyli grób i wsiadali z powrotem w mgłę, z której się przedtem wyłonił. Trwało to nie więcej jak parę minut.

Temu makabrycznemu widowisku przystąpił dali się osuwać ze zdumienia uczestnicy pogrzebu: rodzina, przyjaciele, znajomi i dwaj tajemnicy.

Pierwsza oknęła się ze zbiorowego zakłoczenia — Maria. Spojrzała bowiem w pewnej chwili na Bogdę i przerażona była wyglądem córki: twarz dziewczyny była purpurowa jak gdyby z jakiegoś szalonego wysiłku, usta miała otwarte, gotowe do krzyku i cała była podana do przodu jak do skoku. Marta pomyślała, że zgroza, że jeśli Bogda chciała dowodu, dostarczona go jej zbyt brutalnie.



Powoli docierają do nas głosem dzieła drugiej, „odrodzeniowej“ fali włoskiej kinematografii. Ostatnio oglądaliśmy romantyczną epopeję Castallanego „Rozbójnik“, a teraz wchodzi na ekrany zrealizowany w tym samym roku poetycki film Ermanno Olmiego „Posada“. Wyznaczyły więc sobie spotkanie w naszych kinach dwa oblicza Italii: spalone słońcem Południe w okresie dramatycznych walk o ziemię, krajinę nędzy, zacofania i anarchizmu oraz Włochy „cudu gospodarczego“, dostatknie i ustabilizowane. Dwa społeczeństwa, dwa światy, dwa okresy historyczne. Ale żeby w pełni zrozumieć sens filmu Olmiego przypomnijmy inny film włoski, sprzed lat przeszło dziesięć, słynne dzieło De Santisa i Zavattiniego „Rzym godzina jedenaście“. W obu filmach chodzi o zdobycie posady. Ale u De Santisa utrzymanie pracy było sprawą życia i śmierci, ostatnią szansą ocalenia i nadziei dla kobiet, które przyszły jej szukać. Dramatyczna sceneria, walące się schody, dramatyczne losy dziewcząt, z których wylaniał się przynębiający obraz ówczesnych Włoch, głodu i bezrobocia. Dla bohaterów Olmiego utrzymanie posady jest kwestią ważną, ale nie ostateczną. Kwestią kupna nowych ubrań, motocykla, zabezpieczenia sobie przyszłości. Wszystko odbywa się więc spokojnie, bez krzyku, w pięknym, nowoczesnym gmachu. Kandydaci są mili, uśmiechnięci,

dobrze ubrani. No cóż, czasy się zmieniły. Mimo to oba filmy są sobie bliższe niżby się to na pozór wydawało. Choć pierwszy przypomina dramatyczny krzyk, a drugi liryczną balladę. Łączy je bowiem postawa

dźmi itd. Tę absurdalność ujawnia Olmi stopniowo, bardzo subtelnie, drogą drobnych a wnikliwych obserwacji. Nieprzypadkowo wymieniano z okazji „Posady“ nazwisko Kafki. W świecie przedstawionym przez

Posada

twórców, którzy w wydarzeniach codziennych, niemal kronikalnych, najprostszych, potrafią dostrzec i ujawnić prawdę o jakimś wycinku rzeczywistości swego kraju. Włoska krytyka lewicowa zarzuca Olmiemu ograniczoną spojrzenia. Ale właśnie w zawężeniu widzenia tkwi siła wymowy tego filmu. Obraz jaki zeń wynosimy, wbrew wszelkim oznakom dobrobytu jest nie mniej przynębiający niż u De Santisa. Jest to obraz beznadziejności i jałowości ludzkiej egzystencji w ramach świetnie zorganizowanego i urzędzonego systemu społecznego. Wszystko jest od A do Z przemyślane w tym wielkim biurze i wszystko jest zarazem absurdalne, pozbawione wszelkiego sensu, człowieczego sensu: egzamin psychotechniczny, praca, stosunki między lu-

Olmiemu jest bowiem coś z kafkowskiego koszmaru. Jest on przede wszystkim pozbawiony realnego sensu. To znaczy sens zapewne tam istnieje, ale niedostępny dla Domenica i jemu podobnych. Oni są tylko igraszką w rękach tajemniczych sił, które regulują ich życie i narzucają szereg samych przez się niezrozumiałych czynności. Te siły coraz potężniej wdzierają się w egzystencję jednostki, nie pozostawiając niemal pustych miejsc, marginesów wolności. Ludzie pracują, jedzą i bawią się w przedsiębiorstwie, „wśród swoich“, System neokapitalistyczny gwarantuje im wszystko: dobrobyt i rozrywkę, myślenie i moralność. Świat coraz bardziej zatracca swe prawdziwe kontury i staje się jednym wielkim biurom albo fabryką.

Z okazji „Posady“ przychodzi na myśl jeszcze jedno nazwisko — piewcy doli małego, szarego urzędniczy — Mikołaja Gogola. Iluż to Akakijów Akakijewiczów spotykamy w biurze Domenica. Postaci śmiesznych i zarazem tragicznych. Bardzo znamieną jest scena rozmowy Domenica z kierownikiem działu siedzącym samotnie za biurkiem w głębi pokoju na podwyższeniu. Kierownik jest wielki i potężny, wypełnia sobą cały ekran. Domenico maleńki i zagubiony w przestrzeni pokoju. Przypomina się znakomita scena rozmowy Akakija Akakijewicza z naczelnikiem z niemego jeszcze filmu Kozincewa i Trauberga „Szynele“, ekspresjonistycznie deformująca postacie obu rozmówców. U Olmiego deformacja ma o wiele subtelniejszy charakter, ale nie traci nic z siły swej wymowy. Kapitalne jest zwłaszcza ujęcie twarzy chłopca widziane poprzez rękę wysypującą usznięcie i czolobitnie cukier do filiżanki kierownika. Dopiero po opuszczeniu jego gabinetu sylwetki ludzi odzyskują swe właściwe proporcje i wymiary. Praca w biurokracyjnej maszynie — pokazuje Olmi — nie daje żadnej satysfakcji ani perspektyw, pozbawiona jest wszelkiej twórczej i produktywnej istoty, jaką posiada chociażby migawkowo widziana praca robotników budowlanych na ulicy,

Olmi odsłania oblicze kraju cudu gospodarczego. Dobrobyt idzie w parze z odczłowieczeniem. Pracownika stać wprawdzie na jedzenie, motocykl i nowe ubranie, ale zatracca on stopniowo swą ludzką osobowość, indywidualność. Staje się śrubką, niewolnikiem. „Spokojna“ przyszłość, ustabilizowane życie, oznaczają beznadziejność, monotonię i brak autentycznych perspektyw. Od czasów De Santisa zmieniła się rzeczywistość włoska i zmieniły się też problemy jakie film włoski porusza. „Posada“ trafia chyba w jeden z najistotniejszych.

Powiedzieliśmy jednak na wstępie, że film Olmiego jest filmem poetyckim. Poezja promieniuje tu przede wszystkim z postaci samego bohatera, bohatera, rzecz zupełnie wyjątkowa we współczesnym filmie, lirycznym. Domenico jest zaprzeczeniem tych wszystkich młodych ludzi, których sylwetek nie szczydzi nam ostatnimi czasy kinematografia angielska, francuska, a nawet polska. Są oni, jak wszem wobec wiadomo, nieprzystosowani,

frustrowani, zalienowani, wyżsi nad swe otoczenie i darzący je głęboką pogardą. Słowem skrzyżowanie neurotyka z nadczłowiekiem. Domenico jest po prostu zupełnie inny. Ta jego inność uwydatnia się szczególnie w zestawieniu z dziewczyną, mieszkanką wielkiego miasta, która przejęła już wszelkie stereotypy myślenia i zachowania współczesnego młodego pokolenia. Darzy ona wprawdzie chłopca pewną sympatią, ale nie bez domieszki pobłażliwego lekceważenia. Domenico dziecinnie prowincji, staroświecki, nieśmiały, nieporadny, zawieszony między niedokończonym jeszcze dzieciństwem a niedojrzałą męskością, wyrwany przedwcześnie z raju dzieciństwa i nieodpowiedzialności jest pełen melancholii, nostalgii. Obserwuje świat „dorosłych“ oczami pełnym zdziwienia, zadumy i niepokoju. To oscylowanie bohatera między „dorosłością“ a dzieciństwem obserwuje Olmi w sposób niezwykle trafny a subtelny. Bardzo lirycznie potraktowany został także wątek rodzącej się miłości, naiwnej, chłopięcej i niesłychanie wzruszającej przez swoją szczerą i spontaniczną, brak wszelkiej gry i wyrachowania (znakomita scena oczekiwania na przydział posady lub spotkania na korytarzu biura). Domenico w przeciwieństwie do swych ekranowych rówieśników jest przede wszystkim rzeczywistym młodym. A poza tym w gruncie rzeczy, nie jest, jak oni, produktem swoich czasów, lecz istotą co nieco anachroniczną. I właśnie przez swoją anachroniczność, staroświeckość odsłania cały smutek, małość, i bezsens reguł gry przyjętych i zaakceptowanych przez dorosłe społeczeństwo. To spójnienie prostaczka pełnego zadumy i melancholii, pełnego dystansu a zarazem sympatii, musi skłonić widza do refleksji nad sobą i otaczającym go światem.

Pozornie pogodny i liryczny film Olmiego jest w istocie filmem tragicznym i tragiczny jest jego finał, spełniający przeciwieństwo marzenia bohatera. Kim będzie nasz młody i „staroświecki“ bohater po upływie kilku lat? Czy zbuntuje się przeciw swemu losowi, czy też stanie się taki jak inni, ukształtowany z duszą i ciałem przez nowoczesne, zindustrializowane i zmechanizowane społeczeństwo na drodze do „postępu i dobrobytu“?

MARIA KORNATOWSKA

Lubicie Bernarda Bliera, tego jowialnego grubaska? To poczytajcie, „Bardzo wczesne odczucie powołania artystycznego. W wieku dwunastu lat widziałem „Horacego“ w Comedie Francaise Pierre Fresnaya wychodzącego przed kurtynę coś chyba piętnaście razy. Chyba to właśnie zdecydowało o moim powołaniu, bo w rodzinie nie miałem żadnego aktora. Rodzice życzyli sobie żebym skończył studia — co też posłusznie uczyniłem, raczej gorzej niż lepiej. Potem zacząłem się rozglądać w środowiskach artystycznych. Początkowo interesowałem się wyłącznie klasyką. Chciałem grać Cornelle'a Racina, Moliere, Marivaux. Pierwszym moim nauczycielem był Ray Rouleau, ale prawdziwie ukształtował mnie Louis Jouvet. W roku 1937 poznałem wreszcie publiczność i to zarówno teatralną jak i filmową. Moimi pierwszymi filmami były: „Gribouille“, „Wejście dla artystów“, „Hotel du Nord“.

Jeśli chodzi o mnie osobiście, o mój charakter i odczucia, to muszę wyznać, że nigdy nie byłem z siebie zadowolony. Ten niepokój pogłębia się z wiekiem. Niepokój jest o wszystko, o rodzinę, o zdrowie, o karierę. Gdy nie pracuję, lubię siedzieć w domu. Dużo czytam, chcę być stale zorientowany w najnowszych kierunkach literackich. Czytam wszystko, książki są moją pasją. Zbieram i kolekcjonuję dzieła zebrane. Mam wielką bibliotekę i gdybym nie był aktorem, mógłbym być księgarzem. Muzyka mniej mnie interesuje, nie lubię szczególnie chodzić na koncerty. Ze sportów najbardziej lubię alpinizm, ale niestety, dobrze po mnie widać że już dość dawno to zarzucałem. Obecnie gramy w golfa. A wszystko przez to że holduję zbytnio Luellusowi. Mam listę małych knajpek, gdzie można bardzo dobrze zjeść, i nikomu jej nie pokazuję. Z tym wszystkim zdobyłem wielką nagrodę kinematografii francuskiej i Nagrodę Aktorską w Belgii. Spośród aktorów najwyższą cenę Jeanne Moreau i Jeana Gabina, spośród realizatorów tych, którzy mają własny styl, na przykład Clouzot“.

Tyle Blier o sobie. Wydaje nam się, że w Polsce mógłby łatwo uzyskać Nagrodę Sympatii, gdyby taką ufundowano... Agnes Varda, która od czasu realizacji „Cleu od 5 do 7“ odpoczywała, podjęła w tym roku pracę nad nowym filmem „Stworzenia“. Będzie to film w rodzaju „science-fiction“, zasadniczym konfliktem filmu natomiast będzie bunt osób dramatu przeciwko autorowi...

Bette Davis i Joan Crawford rozpoczęły już pod kierunkiem reżysera Jamesa Aldricha prace nad filmem: „Co się przydarzyło kuzynce Charlotte?“ Akcja tego filmu toczy się w bardzo starym domu. Budowa tego domu przed 144 lata kosztowała 25 dolarów. Rekonstrukcja w studio ma kosztować ponad 1500 dolarów.

Wiele gwiazdorzy mają takie same problemy jak podlotki — co się tyczy noszenia okularów. Unikają ich jak moga. Cary Grant, James Stewart i Ray Milland noszą szkła kontaktowe: Fritz Lang, raniony w oko podczas wojny nosi z wielką gracją monokl, Tony Perkins wkłada okulary albo wtedy gdy nikt go nie widzi, albo wtedy, kiedy uznaje, że mu to doda wdzięku. Jedynie Rock Hudson pokazuje się publicznie w grubych szklach i jakoś umy mu to nie przynosi...

Z listów do Johnny Hallydaya: „Nie rozumiem dlaczego stałe odmawiasz wysłania twoim kumpłom pukli swoich włosów. Co by ci szkodziło wrzucać zbyteczne włosy nie do kosza na śmieci a do koperty? Nie chodzi o to, żebyś się przez to dał ogolić na zero, ale przez te cztery lata, od kiedy zacząłeś śnić, bywasz chyba czasami u fryzjera?“ Biedne bożyszcze...

Serię dowcipów rysunkowych należałoby zacząć z uwzględnieniem bogatych tradycji tego genre'u. Niewątpliwie najczęściej spotykamy żarty z rozbitek, więźniów i zakonników. My rozpoczniemy „po bożemu“ — czyli od zakonników. Oto seryjka z pism włoskich.

DOBRY ŻART DOLARA, RUBLA, FUNTA, FRANKA WART



Bez słów...



Bez słów...



Moim zdaniem on nie jest zupełnie pewny swojego powołania.



Mam straszną ochotę na „kurczę po diabelsku“.

Delikates

z przedrostkiem

Nie są w Łodzi najpopularniejsi. Choć stuknął już „Cytrynie” piaty rok nie czynią z tego powodu jubileuszowego huczku. Są skromni. Dużo skromniejsi od swych STS-owych konkurentów, choć od jakiegoś czasu nagrody spływają na nich jak ulegali.

„Ile już tego było? — kierownik teatru dr Tomasz Pertyński zamyślił się — wygraliśmy czterokrotnie Ogólnopolski Przegląd Zespołów Artystycznych Medyków. Na Festiwalu Kultury Studenckiej w Gdańsku zdobyliśmy dwa wyróżnienia. Dostaliśmy nagrodę Rady Naczelnej ZSP. Na Festiwalu Studenckich Teatrów Europy w Zagrzebiu zdobyliśmy drugą nagrodę...”

Nie bawmy się w wylężenia. We własnym kraju i tak prokiem być trudno. Salka „Cytryny” mało w Łodzi znana, choć w hallu różnobarwne afisze dziewięciu premier, choć Aleksander Bardini grzmi w warszawskiej telewizji, że „takich amatorów to dawno nie widział”. Trafił w sedno Bardini, bo są to rzeczywiście amatorzy — nie mają w sobie nic z amatorów in spe, których pełno w sporcie i gdzie indziej. Dla nich zawsze mimo umiłowania tej sceny ważniejszy jest piękny zawód lekarza, który zdobył lub którego się jeszcze uczy. Są w najczystszy pojęciu spadkobiercami Boy'a.

— Jazda do domu uczyć się, nie zbijać tu baków. — wysoki przystojny pan wyrzucił żartobliwie młodego człowieka z sali, gdzie właśnie odbywa się próba.

Młody człowiek żegna się i wychodzi. Jutro ma egzamin a ten co go wyrzucił to asystent. Też członek zespołu.

Nie ma w „Cytrynie” drugorocznych — jest za to gromadka lekarzy, farmaceutów, jest atmosfera i tradycja, która nie dopuszcza do spieć między interesem uczelni, a interesem zespołu. Są za to inne spiecia. Zabawne, satyryczne spiecia — wywołujące zawsze aplauz widowni. To chyba nie było łatwo zdobyć nagrodę rektora UJ w konkurencji z warszawskim STS-em, reprezentowanym przez „Wieże malowaną”, z krakowskim Teatrem 38... Ale „Tempo z przedrostkiem” podbiło Kraków i choć brzmi to banalnie jest przecież prawda.

A chcecie? Opowiem wam bajeczki.

„Za siedmioma górami
Przed siedmioma latami
Zamienił stryjek siekierkę
na kijek”
Na scenie stoi dwoje ludzi

trzymających plansze z napisem „Nowa kultura”. Po chwili odwracają plansze drugą stroną i widać... odpowiedni napis.

Ze co? Ze bajka jest niezrozumiała? Nie wiem. Czytelnicy prasy kulturalnej twierdzą, że to wcale nie jest bajka.

Albo taka scenka: kobieta siedzi na stoliku, mężczyzna siedzi na drabinie. Chwila przerwy. Ukazuje się napis „groza narasta”. Na scenę wychodzi Mężczyzna II. Mężczyzna I: Dlaczego państwo nie grają? Kobieta: Tu się nie gra. Razem: Tu się eksperymentuje.

„Cytryna” inaczej — gra i eksperymentuje. Zdziwiała wybredną publiczność kwajowych i zagranicznych festiwali. Zdziwiała reporterka, który słyszy: „do Szczecina wyjeżdżamy o 20.02. O siódmej rano jesteśmy na miejscu, o dziesiątej próba — gramy o szesnastej. O dwudziestej z minutami mamy pociąg do Łodzi. Rano jesteśmy z powrotem. Musimy być w pracy i na wykładach.

Trzeba bardzo kochać tę scenę, ten teatr — trzeba bardzo kochać swój trudny zawód aby łączyć te odległe i piękne dyscypliny. Oni to potrafią.

STS „Cytryna” — reżyser Jan Kwapisz, opracowanie muzyczne — Zbigniew Rychlewski, kierownik teatru — Tomasz Pertyński.

JERZY WILMAŃSKI

Foto: E. Kudaj



LISTY do REDAKCJI

Choć wydaje mi się, że „Odgłosy” są coraz to lepiej redagowane, niemniej ukazują się takie opowiadania, które budzą grozę i niepokój. Takim opowiadaniem są właśnie „Imieniny u kipy” Józefa H. Wiśniewskiego, zniekształcające naszą rzeczywistość. Nie można się bowiem zgodzić z autorem, że każdy wiejski młody chłopak marzył o zostaniu „kipperem” czyli złodziejem-rozbójnikiem i że Polska zamieniła w ostatnim dwudziestolecu ich wszystkich w uczuciowych nauczycieli, generalów, inżynierów itp. Jest to opowiadanie w stylu najgorszych ideologicznych produkcji, które zamiast wnieść pewne wartości ideologiczne okazuje się wręcz szkodliwe. Dlatego literatura nasza musi unikać wszelkiej apologii złośliwości, gwałtu i oszustwa, czynionych w imię nawet najszlachetniejszych idei.

J. GAJEK

Od redakcji: Choć nie zgadzamy się z opinią Pana Gajka o reportażu J. Wiśniewskiego, publikujemy list naszego Czytelnika.

W numerze 21 (325) z dnia 24 bm. przy artykule Władysława Orłowskiego zostało zamieszczone zdjęcie przedstawiające Rektora UJ prof. dr. Kazimierza Lepkiego w czasie wygłoszenia przemówienia inauguracyjnego Rok Jubileuszowy.

Mam wątpliwości, czy wszyscy łodzianie natychmiast rozszyfrują to zdjęcie, czy niektórzy nie będą się domyślać zdjęcia z sali sądowej wzgl. Soboru Watykańskiego. Chyba właściwy podpis winien im w tym pomóc.

Wydaje mi się również, że przywoiciej byłoby wymienić również nazwisko autora zdjęcia (co resztą w innych wypadkach czynicie) i sądzić, że naprawienie tych błędów nie sprawi Szanownej Redakcji specjalnych kłopotów. Nie mówię już o innych konsekwencjach wymykających z zamieszczenia zdjęcia, w wyniku których autorowi przekazuje się skromny ekwiwalent. Ale to nie jest już takie konieczne.

ZBIGNIEW BOCHENEK
Kraków, ul. Prądnicka 43
OD REDAKCJI: To rzeczywiście nasza gafa! Przepraszamy...

Wielka KSIĄZKAMI

PROBLEMY OSOBOWOŚCI I MOTYWACJI W PSYCHOLOGII AMERYKANSKIEJ

Jest to antologia. Antologia tekstów poświęconych problematyce motywacji i problematyce osobowości. Antologia artykułów i nie tylko artykułów w jej skład wchodzi przecież fragmenty dzieł odpowiednio wyselekcjonowane, wchodzi skróty większych rozpraw. Antologia ma poznać nas ze stanem ba-

dań nad osobowością człowieka. Stanem badań prowadzonych przez amerykańskich psychologów w przeciągu ostatnich dwudziestu lat. Choć... Choć — na dobrą sprawę — jest to nie tyle przegląd wyników, osiągniętych już rezultatów, ile przegląd metod, metod badawczych. I z tego właśnie względu „Problemy osobowości i motywacji w psychologii amerykańskiej” zastępują na szczególną uwagę. Czy jest to przegląd wszystkich ważniejszych metod? Myślę, że nie. Zresztą, autor antologii — Janusz Reykowski — zdaje sobie z tego sprawę. Myślę również, że nie zawsze wybrano tu teksty dla danej metody reprezentatywne. Tak np. „Osobowość w świetle teorii uczenia się” Edwina R. Guthrie'ego z całą pewnością nie przedstawia aktualnej fazy „learning theory”. To — nade wszystko — tekst o historycznym już znaczeniu, jeśli chodzi o popularyzację tej metody interpretowania ludzkiej osobowości. Ale go-

rzej już wówczas, gdyby szło o zapoznanie odbiorcy ze współczesnymi, całkiem współczesnymi jej wersjami. Zgola podobnie przedstawia się sprawa w przypadku artykułu Thomasa M. Frencha „Osobowość w świetle metody psychoanalitycznej”. Mamy tu przecież do czynienia z mocno uproszczonym obrazem „psychologii głębi”. Z wykładem jej założeń, przeznaczonym już nie dla szerokiej publiczności. Rzucą się to w oczy z tym większą siłą, że przecież obok w tym samym tomie mieszczą się szkice (także jak choćby „Pojęcie motywacji i zasady jej mierzania” Raymonda B. Cattella czy „Fizjologiczny mechanizm zmienności motywacji” Donalda O. Hebbisa) reprezentujące znacznie wyższy poziom. Szkice, które mają na względzie coś innego; aniżeli tylko upowszechnienie doktryny.

Też zastrzeżeń. Nie podważa ona jednak wartość książki. Jej wartość jest rzeczą bezsporną. Czymś, co nie podlega dyskusji. To dobra, to poży-

teczna książka. Dopiero czytając ją uświadomiamy sobie, jak niewiele wiemy o współczesnej nam psychologii. W jak wielkim stopniu operujemy tutaj anachroniczną aparaturą pojęciową, wywodzącą się gdzieś z połowy, w najlepszym razie z końca XIX wieku.

L. B.

„Problemy osobowości i motywacji w psychologii amerykańskiej”. Wybór i opracowanie Janusza Reykowskiego. Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 1964; str. 238, nakład 3.250 egzemplarzy.

KRĘGI NA WODZIE

Zastanawia mnie, dlaczego tłumaczka tej książki, Izabela Czermakowa, opatrzyła ją tytułem „Kręgi na wodzie”. Tytuł oryginału brzmiał „Nebenan”, co znaczy po prostu: „Obok”. Obok, czyli gdzieś w po-

bliżu, wokół nas dzieje się to wszystko, co opisuje pisarka zachodniolemiecka Johanna Moosdorf. Urodzona w 1911 roku w Lipsku, Johanna Moosdorf dopiero po wojnie poświęciła się literaturze pięknej. Pisze wiersze, opowiadania, powieści. Obecna jej powieść spotkała się z uznaniem krytyki i zdołała sobie przychylną opinię czytelników. Znajac życie pisarki, która za czasów hitlerizmu straciła męża w obozie koncentracyjnym, a sama musiała się ukrywać, możemy się zorientować, że powieść jej „Kręgi na wodzie” ma charakter autobiograficzny. W swej głównej warstwie akcja jej dzieła się po wojnie w NRF, w partiach retrospektywnych natomiast przywołuje autorka na pamięć czasy hitlerowskie, kiedy ludzie byli szczeni i więzieni.

Nie jest to jednak powieść realistyczna w potocznym znaczeniu tego słowa. Obrazy mieszają się, zachodzą na siebie, autorka stosuje narrację zarówno w pierwszej osobie, jak i w trzeciej. Wymaga więc ta książka uważnego czytania. Ale uwaga poświęcona lekturze tej książki opłaci się. Jest to utwór ciekawy, będący w jakiejś mierze krytycznym widzeniem rzeczywistości niemieckiej dawnej i obecnej. Trzeba też powiedzieć, że „Kręgi na wodzie” świetnie na język polski przetłumaczyła zasłużona tłumaczka literatury niemieckiej, Izabela Czermakowa.

*) Johanna Moosdorf. „Kręgi na wodzie”. Przełożyła Izabela Czermakowa. Czytelnik 1964; str. 271.

Stare, a lenie przestarzałe

Przypadek zdarzył, że wpadła mi w ręce... No, nie można powiedzieć, żeby to był całkowicie przypadkowy. Rzeczy tej szukałem od lat, nagabywałem o nią antykwariuszy, rozpytywałem się wśród kolegów i znajomych. Aż wreszcie niedawno pewien młody, sympatyczny człowiek, mający prawo szperania w zbiorach makulatury, natrafił na ten cenny egzemplarz i wiedząc, że go właśnie szukam, sprezentował mi swoje znalezisko. Nie sposób opowiedzieć, jak mnie to ucieszyło. Ale o co chodzi?

Chodzi o książkę pt. „Poland and the Poles” (Polska i Polacy), wydana w r. 1919 w Anglii, a na polski nie tłumaczona. Autor tej pokażnej publikacji z ilustracjami (ponad 300 stron druku), Anglik A. Bruce Boswell, polonista z wykształcenia, spędził w Polsce pięć lat, poznał dobrze kraj, ludzi i literaturę, a następnie posilując się studiami i bogatą lekturą przedmiotową, napisał dzieło wielce dla nas życzliwe i zdradzające rzadką u Anglosasów znajomość historii i kultury polskiej. Zainteresowały mnie zwłaszcza te partie książki, w których autor stara się określić charakter narodu, bowiem wiąże się one w jakiś sposób z prowadzoną u nas przed paroma laty dyskusją wokół „Siedmiu polskich grzechów głównych” Żalskiego.

Myszę tedy, że warto zapoznać czytelnika z poglądami cudzoziemskimi na te sprawy, tym bardziej że jak mi się wydaje, uwagi jego są w dalszym ciągu, przynajmniej w pewnej mierze, aktualne. Boswell pisze: „Polak nigdy nie potępia obcych obyczajów dlatego, że są obce. Patrzy na nie żywo z zaciekawionym skłonem jest do ostrej samooceny i chętnie przyznaje wyższość obcym urządzeniom i metodom. Jest przeciwnikiem przysłówowej brytyjskiej wgardy dla cudzoziemców”. Jeszcze niedawno publicyści nasi, pisząc o Polakach wyjeżdżających za granicę, zwracali uwagę na ich bezkrytyczny stosunek do wszystkiego, co obce. Czyż wiele lat temu nie pochwylił tej cechy, łagodnie ją formułując, angielski polonista z Liverpoolu?

A oto inny cytat z pracy Boswella: „Polacy mają, jak wszyscy Słowianie, błąd wyobraźni, która uewnętrznia się w rozmaicie. Czasami powoduje bezpłodność umysłową, całkowicie zanik woli, częściej prowadzi do marzycielstwa i braku poczucia rzeczywistości. Na Polaka zawsze silnie działa piękność abstrakcyjna, niepochwytana. Odbiło się to w poezji i muzyce. Tej właściwości sztuka gawędzi czy jedyny w swoim rodzaju wdziek. Te same zdolności wyobraźni widać w stosunku Polaka do świata. Najpopu-

larniejszym przymiotnikiem polskim jest przymiotnik: sympatyczny. Nowy znajomy, nowa idea, nowe ubranie — wszystko jest jednako sympatyczne”.

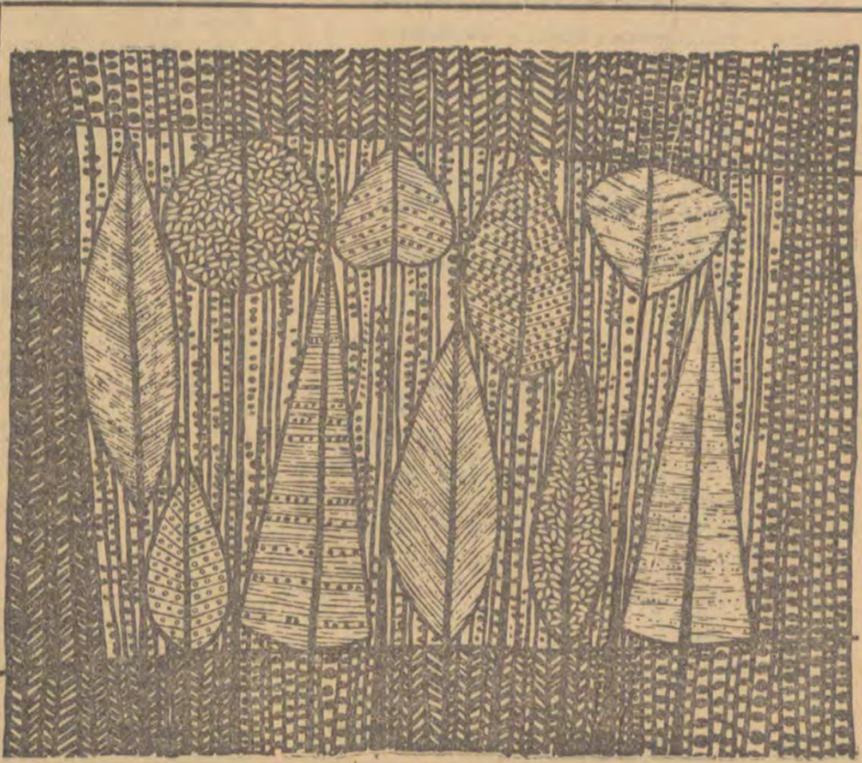
No i cóż wy na to? Podstuchajcie jakakolwiek rozmowę na ulicy czy w kawiarni, a przekonacie się, że Boswell ma rację: słowo „sympatyczny” pada najczęściej. Sam zresztą wielokrotnie na tym się łapałem. Sądzę, że ta łatwość w kwalifikowaniu wszystkiego jako czegoś „sympatycznego” zdradza naszą naiwność i powierzchowność. Ale może się mylę.

Interesujące są rozmyślenia Boswella na temat języka. „Język polski — pisze on — nie jest piękny dla cudzoziemca. Brzmi twardo i zawiera częste zbiegi spółgłosek. Jest jednak bogaty i dźwięczny, mówiony wyraźnie. Nieuchronny akcent na przedostatniej sylabie nadaje językowi polskiemu szczególną monotonię i odróżnia go specjalnie od języków tak kalejdoskopowo zmieniających akcent jak rosyjski lub angielski. Monotonię jednak zmniejsza to, że nacisk na akcentowanej sylabie słabiej. Poeci polscy uczynili zeń najdoskonalszy instrument poetycki, pełen plastyki i harmonii”. I jeszcze jeden cytat: „Polacy, mówiąc, gestykują bardzo żywo, a niektóre ich gesty są tylko im właściwe. Ciekawe jest, że rozmowa dwóch Polaków sprawia na cudzoziemcu wrażenie kłótni, tak z powodu gestów, jak gwałtowności mowy i zmian tonu na pytający lub wykrzykujący



tam, gdzie my byśmy mówili zupełnie spokojnie”. Myszę, że dobrze jest od czasu do czasu przejrzeć się w zwierciadle obcej opinii. Nie ze wszystkimi spostrzeżeniami i sądami Boswella należy się zgadzać, ale nawet tam, gdzie naszym zdaniem autor się myli, jego uwagi nie przesłaniają być zastanawiające. A w swojej obszernej pracy dowiódł on, że nie są to rzeczy wzięte z powietrza, lecz oparte na studiach i obserwacji rzeczywistości.

W czasie pisania tego felietonu listonosz przyniósł mi przesyłkę pocztową z Anglii. Jakież było moje zdziwienie, gdy po otwarciu okazało się, że znajduje się tam książka, stanowiąca wy-



Anna Kramarz-Głuszczyńska — Tkanina. Z wystawy otwartej w lokalu BWA — Piotrkowska 102.

bór pism pt. „Współcześni historycy brytyjscy”, a wśród wielu autorów w antologii uwzględnionych zobaczyłem również „starego znajomego” — A. B. Boswella. Ucieszyłem się, bo z jego książki „Polska i Polacy” wybrałem te same fragmenty, o których wspominałem wyżej. Czy dlatego, że uznano je za najlepsze? Nie wiem, czy są najlepsze z całej pracy, ale z pewnością są bardzo ciekawe. Z książki tej dowiedziałem się dalszych szczegółów o Boswellu. Oto w latach pobytu w Warszawie (1908—1913) pracował on w Bibliotece Zamoyckich pod dyktando Tadeusza Korzona i pod jego wskazówkami studiował dzieje Polski, w sześć godzin spędził w muzeum. Podczas drugiej wojny światowej wydał kilka broszur, a także wygłosił wiele odczytów, w których informował o Polsce świat anglosaski, nie posiadający — jak wiadomo — nadmiernej wiedzy o wschodniej Europie, a osobliwie o naszym kraju. A. B. Boswell, urodzony w 1884, zmarł w 1962 roku. Był nie tylko znawcą historii Polski, jej kultury i obyczajów. Z dużą życzliwością i przyjaźnią odnosił się do poczyniń polskich, a jako jeden z doskonałych znawców naszych dzieł uchodził za autorytet w tych sprawach.

Dziś, kiedy odrabiamy zadanie w różnych dziedzinach, może dobrze byłoby przypomnieć sobie o książce Boswella o Polsce i Polakach, i wydać ją w przekładzie na nasz język. Choć opublikowana po raz pierwszy w 1919 roku, ciągle jest i może być uchodzić za źródło ciekawych informacji i spostrzeżeń dla nas o nas samych.

JAN KOPROWSKI

SPEKTAKLE tygodnia

FILM	
POLONIA — „Siódmy przysięgły”	9 271 widzów
WOLNOŚĆ — „Tajemnice Paryża”	6 271 widzów
TEATR	
NOWY — „Marie Octobre” 5 spektakli	1 500 — 47%
NOWY, Mała Sala — „Garść piasku” 4 spektakle	800 — 100%
7.15 — „Gość z kosmosu” 6 spektakli	1 850 — 70%
POWSZECHNY — „Romeo i Julia” 3 spektakle	1 673 — 83%
„Zamach” 2 spektakle	464 — 29%
JARACZA — „Wieczór Trzech Króli” 1 spektakl	600 — 90%
„W pustyni i w puszczy” 1 spektakl	680 — 100%
OPERETKA — „Płaszcz z Tyrolu” 6 spektakli	4 049 — 97%
OPERA — „Verbum nobile” 2 spektakle	1 420 — 100%
„Damy i huzary” 1 spektakl	659 — 100%
FELHARMONIA — Koncert popularno-symfoniczny	
1 koncert	521 — 85%
ESTRADA — „Cocall ritmus” rewia z NRD w parku Poniatowskiego 1 spektakl	1 200 — 100%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

fraszki jana Czarnego

VIS MAIOR...

Vis maior... mówi się, ale często winni są kaprale.

CYKLOP

Dajcie mu parę posad, a podźwignie świat z posad.

POLONICA

ST. JERZY LEC PO WŁOSKU

„Myśli nieuczestane” Stanisława Jerzego Leca, po przekładach na angielski, francuski, niemiecki, czeski, rosyjski i węgierski, ukazały się obecnie w tłumaczeniu włoskim. W miesięczniku społeczno-teoretycznym „Il filo rosso”, nr 6 (Mediolan, wydawca Feltrinelli) opublikowano dziesięć stron „Myśli nieuczestanych”. Przetłóczył je jeden z redaktorów pisma, Guido N. Neri. On też jest autorem artykułu o St. Jerzym Lecu. Redakcja zaznacza, że publikując „Myśli nieuczestane” odeszła tym razem od stosowanej przez siebie zasady niedrukowania tekstów literackich. Jednocześnie w innym czasopiśmie włoskim „Il Caffè”, wychodzącym w Rzymie (numer z kwietnia br.), przetłóczył 178 „Myśli nieuczestanych” Pina Ugucioni.

WYSTAWA SZOPENOWSKA W BERLINIE

W Berlinie wschodnim w „Haus der polnischen Kultur” (Dom Kultury Polskiej), kierowanym przez Ireneusza Wilga, otwarto wystawę poświęconą Fryderykowi Chopinowi. Jest to wystawa wędrowna, która przedtem pokazana była w Wei marze, a w czerwcu b. roku prezentowana będzie w mieście Gera w ramach odbywającego się tam festiwalu sztuki. Na wystawie składają się fotografie, plansze i dokumenty, dotyczące życia i twórczości polskiego kompozytora.

LITERATURA POLSKA W ANGIELSKICH PRZEKŁADACH

Pracę pod tym tytułem rozpoczęła Mrs. Ledebetter (1870—1954), bibliotekarka Cleveland Public Library w okresie

przed I wojną światową, chcąc poznać elementy kultury oczyszczonej polskich emigrantów — czytelników biblioteki, w której pracowała. Niewielka bibliografia pod tytułem „Polish Literature in English Translation” ukazała się drukiem w 1932 roku i była wynikiem żmudnych poszukiwań osoby, która nie znała języka polskiego! Jej nowa wersja pod zmienionym tytułem ukazała się w roku 1963 w opracowaniu Marlon Moore Coleman i jest bibliotekarskim hołdem złożonym p. E. Ledebetter oraz skromnym, a jakże wartościowym przyczynkiem do obojędów Tysiąclecia Państwa Polskiego wśród Polonii amerykańskiej. Bardzo skrupulatnie zebrany materiał obejmuje 410 nazwisk pisarzy polskich w układzie alfabetycznym od Józefa Adama Abramowskiego do Krystyny Żywulskiej. Uwzględniono w bibliografii druki wydane samodzielnie (książki), jak również artykuły i utwory poetyckie rozrzucone po prasie i periodykach angielskich. Układ alfabetyczny i brak numeracji opisów zaciemnia chronologicznie wzrost zainteresowania się literaturą polską na terenie angielskiego obszaru językowego i utrudnia

poszukiwania. Brak indeksu własnie w układzie chronologicznym oraz wniosków z bogatego materiału rejestracyjnego osłabia wartość pracy. Szkoda także, że publikacja nie została wydana drukiem, lecz powielona w niezręcznym formacie. Podstawą zestawienia bibliograficznego jest 136 publikacji źródłowych dotyczących literatury polskiej, napisanych w języku angielskim. A ile trzeba było przewertować materiałów, z których tylko niewiele ukazało się w bibliografii! Autorka stara się dotrzeć do tytułów oryginalnych i ustalić datę ich powstania i druku. Rzecz jasna, że nie zawsze jej się to udało. Nazwiska autorów polskich zaopatrzone datami biograficznymi. Jest to bardzo ważny element dla czytelnika słabo zorientowanego w historii literatury polskiej, pozwalający na umiejscowienie pisarza w odpowiedniej epoce. Najwcześ-

niej tłumaczonym pisarzem polskim był Maciej Kazimierz Sarbiewski (1595—1646), którego łacińska ody została po raz pierwszy przetłumaczona przez Bilsa w 1646 r. Najczęściej tłumaczonymi pisarzami są: Kochanowski, Krasiński, romantycy, Sienkiewicz. Polską literaturę współczesną reprezentują jej najlepsi przedstawiciele. Wśród tłumaczy, których jest ponad setka, znajdują się: John Boving, Watson Kirkconnell (Gumac) oraz raz czwarty w 1962 roku) oraz sama autorka pracy M. M. Coleman. Publikacja należy do niewielkiej, jakże posładamy w zakresie recepcji literatury polskiej poza granicami kraju, warta jest opublikowania w języku polskim. Pewne usterki konstrukcyjne nie umniejszają jej wartości jako niezastąpionego źródła do dzieł literatury polskiej w Anglii i Stanach Zjedn. A. P. (M. K.)

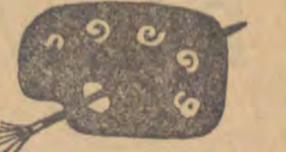
POLONICA

SARTRE i PICASSO o sobie

Najnowszy numer popularnego tygodnika „Les lettres francaises” przynosi wiele ciekawych publikacji na tematy literatury, filmu, teatru, sztuk plastycznych. Wśród wielu innych, zajmujących się choćby aktualną sytuacją kinematografii czechosłowackiej, czy rozważających tegoroczny plon festiwalu filmowego w Cannes, zwraca uwagę artykuł „Pierre’a Daux poświęcony nowemu, czwartemu już tomowi „Situations” Sartre’a. Zestawienie poprzednich części „Situacji”, właściwie nieznanych w Polsce, z czwartą częścią esejów poświęconych autorowi artykułu do poczynienia interesujących uwag nie tyle o samych szkicach krytycznych Sartre’a, ile o ukształtowaniu się jego pojęcia „Situacji” dałej części dostrzec w tym, co pisze o literaturze i sztukach pięknych w ogóle. Nowy tom „Situations” zawiera eseje o sporej rozpiętości tematycznej, od stosunkowo dawnego szkicu „Artysta i jego świadomość”, poprzez uwagi o „nowej powieści” na marginesie piarstwa Nathalie Sarraute, aż do refleksji nad malarstwem Giacommetiego i współczesnym malarstwem abstrakcyjnym. Wartość nowego zbioru sprawdza się, zdaniem autora artykułu, do stwierdzenia, że postawa filozoficzna Sartre’a dopiero tu staje się zupełnie jednoznaczna. Twórczość literacka nie dostarcza możliwości równie jasnego odczytania podstawowej tezy Sartre’a, że o wiele mniej ważna jest „świadomość, czy historia ma sens i czy w niej uczestniczymy, ważniejsza jest chwila, w której tkwimy po czubki włosów i której próbujemy nadać sens, wędrując nas najwłaściwiej”.

Równie zasadnicze problemy, jak te, które rozważał Pierre Daux, znalazły miejsce w dziele „Les lettres” poświęconym sztuce plastycznej. Tym razem jednak głos oddano samej sztuce i pozwolono mu wygłosić uwagi o własnym zym miesiącu. Kilka dni temu ukazała się pierwsza część trytomowej całości, opracowanej przez Helene Permelin, zbierającej uwagi Picassa, które składają się na jego „wyznanie wiary”. Tygodnik publikuje niektóre z jego spostrzeżeń, twierdząc, że są doskonałą eksplicacją jego pociętych, rytmicznych, czerami. Oto, co mówi sam Picasso o „prawdzie” dzieła sztuki: „Prawda płótna i prawda świata muszą się ze sobą połączyć przy pomocy wszystkich możliwych środków swobody, ale swoboda nie jest uchwytna dla wszystkich. Trzeba ją za każdym razem zdobywać na nowo. Dzisiaj, jak nigdy dotychczas, trzeba bezwzględnie zburzyć w malarstwie wszystkie manie, tkli, aprioryczny, które nagromadziły się przez lata istnienia tzw. „sztuki nowoczesnej” i które uważane były za wyraz swobody. Te skamieniała sztuka trzeba zabić, a potem jeszcze raz szukać prawdy”.

I jeszcze jedna spośród licznych uwag Picassa, wprowadzająca w środek jego artystycznych zmagan: „Rola malarstwa nie może się sprowadzić do malowania ruchów do nadawania ruchowi realności na płótnie. Jego zadaniem jest przede wszystkim zatrzymać ruch.



Aby utrwalić obraz trzeba wyjść poza proste utrwalenie ruchu. Wtedy jedynie mamy do czynienia z realnością. W przeciwnym razie biegnie się tylko do tyłu...”

Czytelnikom interesującym się poezją, „Les lettres” przypominają o dwudziestą piątą rocznicę śmierci Oskara Milosza. Z tej okazji Rene Lacote publikuje artykuł o tym powszechnie cenionym we Francji poecie. Artykuł interesujący przede wszystkim z uwagi na próbie nowej interpretacji poezji Milosza. Ustalona od dawna tradycja kazała umieszczać poeę w symbolizmie i wyszu kiwać w jego utworach tropy znane z poezji symbolistów. Lacote, nazywający się wielobielem Milosza, stara się wskazać na te momenty wierazy, które stanowią o ich niepełnej oryginalności. One to właśnie decydują, zdaniem autora, o klasie twórcy popularności Milosza. wśród czytelników francuskich.

„Podobno jeszcze kilka, a nawet dziesięć — piętnaście lat temu legenda o Oskarze Konie była żywa. Legenda o niepospolitym draniu, legenda o Konie — szczęściarzu, legenda o wyjątkowo bezwzględny wyszkiwacz, jakim był w porównaniu z innymi łódzkimi fabrykantami. Dziś do przeszłości należy już nie tylko Oskar Kon, ale i legenda o nim” — pisze autor tej pracy traktującej o „wizewskim króliku”, byłym właścicielu Widzewskiej Manufaktury, który swego czasu był jednym z najbogatszych ludzi w Polsce.

Publikujemy poniżej fragment tego eseju. Całość ukaże się wkrótce w wydaniu książkowym nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Przypominamy, że pierwsze rozdziały tej interesującej pracy drukowaliśmy już w „Odgłosach”.

Pożegnanie z ŁÓDZIĄ

Andrzej Jzowski

(fragment)

Po Monachium w sferach przemysłowych Łodzi dano się odczuć pewne uspokojenie narosłej już uprzednio, choć jeszcze niezbyt silnej gorączki wojennej. Wszyscy byli pewni, że Hitler zagarnął Sudeły nie wysunie teraz sprawy Gdańska.

Tylko Oskar Kon zachowywał się tak, jakby już lada dzień niemieckie dywizje miały maszerować Piotrkowską. Dla „wizewskiego królika” ważniejsze ponad uśmiechy i zapewnienia premierów Anglii i Francji były wiadomości, które sygnalizowały mu angielski bank.

Kon zobojetniał już zupełnie na sprawy Wi-My, na sprawy, których nie skąpił mu syn Maks, na związki konsula Szwecji z Ejtingonem, wreszcie na wlokące się wciąż procesy z akcjonariuszami Wimy. Kupował złoto, brylanty, płacił za nie każdą cenę i wszystko wywoził za granicę. Przyjaciółom wyjaśniał, że musi się spieszyć. Ci, co mają mało, zdają wszystkie wywieźć, ale on nie nada przecież na poczekaniu pakci zawierającej Widzewską Manufakturę. Nikt zaś nie wiedział, że właściwie od dawna Wima jest już sprzedana.

W powietrzu coraz bardziej wisiał światowy kataklizm. Wydawało się ludziom, że w obliczu nadciągających wydarzeń Oskar Kon, człowiek już 68-letni, który zgromadził majątek, jakiego nigdy w życiu ani on, ani jego rodzina nie zdolają wydać, który już go ulokował za granicą, da wreszcie spokój pogoni za pieniędzmi. Pomyśli raczej o wyjeździe gdzieś w bezpieczne miejsce. Nie będnie się kusił o wyciągnięcie z łódzkich interesów jeszcze miliona, czy jeszcze dwóch milionów złotych. Szczególnie — myśleli ludzie, że sam Kon długo już nie pożyje, a nie zostawia po sobie żadnego spadkobiercy, któremu by chciał zapewnić pozycję wielkiego finansisty.

Oskar Kon widąc też zastanawiał się nad tym. Mówił wtedy, że chce zostawić majątek swojemu ukochanemu wnukowi. Było to wszakże jeszcze dziecko i zostawienie mu pieniędzy oznaczało powierzenie majątku zniecierpliwionemu i nieodpowiedzialnemu

Maksowi. Wydawało się, że Oskar, któremu pogoń za pieniędzmi weszła niejako w krew, stanowiąc cały sens i istotę jego życia, dorabia sobie do tego uzasadnienie. Od dawna już pieniądź rządził Konem w większym stopniu niż on sam pieniędzmi.

W ciągu 1939 roku wciąż bezkarny „królik wizewski” obciążał długami każdą cegiełkę fabryki i wywoził wszystko za granicę. Oburzało to mieszczańską opinię publiczną miasta Łodzi. Nie tylko to zresztą.

Stale pogarszające się stosunki z Rzeszą znajdowały swoje odbicie w stosunkach ludności polskiej Łodzi z miejscowymi Niemcami. W mieście działała już na wpeł jawnie NSDAP.

W tej atmosferze ludzi oburzało, że Wima nadal jest oazą niemiecką, i co dziwne, zważywszy pochodzenie Kona — hitlerzemu.

W biurach nadal obowiązywał język niemiecki. W fabryce panował się dyrektor Oskar Klikar. Jak się później okazało jeden z przywódców NSDAP w Polsce. Oburzało to nawet sanacyjne władze, oburzało Maksa Kona. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego Oskar „hoduje” sobie pod bokiem cały oddział NSDAP i rzeczywiście trudno to sobie w jakikolwiek sposób wytłumaczyć. Chyba tylko tym, że Kon czuł się wyższy ponad wszelkie narodowe racje i był tak pewny siebie i swej potęgi, iż uważał się za stojącego ponad tym wszystkim, co dzieje się na świecie.

Kiedy wojska hitlerowskie zajęły Łódź Maksa Kona nie było już w Polsce. Pojechał on na wystawę światową do Nowego Jorku i tam paktował z Ejtingonem. W momencie wybuchu wojny płynął był właśnie z Ameryki do Gdyni na pokładzie „Batorego”. Statek zawinął do Anglii. I tam już Maks Kon pozostał na zawsze.

28 września na polecenie władz okupacyjnych zakazano Konowi i jego rodzinie, jako nieryzykownym, dalszego pełnienia dyrektorskich funkcji na Widzewie i w ogóle przebywania na terenie fabryki. W kilka dni później jakiś wysoki oficer zajął dla siebie pałac Konów przy ulicy Targowej.

Oskar z żoną przeniósł się do sędzówki i odład poleciono mu pełnić funkcje dozorca.

Zastanawiano się wówczas: dlaczego Kon nie wyjechał? Dlaczego nie zdążył wyjechać z Polski akurat on, który tak wczesnie wszystko przewidział, który zdążył wywieźć za granicę cały swój majątek i nie tylko swój. I ludzie mówili, że tego starca zgubiła chciwość. Nie mógł się widocznie zdecydować na wyjazd do ostatniej chwili, wciąż widocznie pragnął wydostać jeszcze trochę pieniędzy, jeszcze trochę powiększyć swoje zagraniczne konta. Z całej historii życia Oskara Kona wiadomo wszakże, że mylili się zawsze ci, którzy go nie doceniali.

Szybko zresztą zapomniano o Konie. Okupacja już dawała się we znaki. Robotnicy zarabiali teraz grosze, chleb drożał, wprowadzono kartki żywnościowe. Zaczęły się też pierwsze represje okupanta. Niebawem o starym prezese pamiętali tylko jego były szofer i ogrodnik, którzy przychodzili wyręczać go w co cięższych pracach.

Już w grudniu 1939 roku rozpoczęło się przesiedlanie do getta tych wszystkich, którzy w oczach okupantów uchodzili za Żydów. W środowisku żydowskim panowało ogromne zdenerwowanie i podniecenie. Co prawda, wówczas nie przewidywano jeszcze, czym rzeczywiście będzie getto, jednak widno chorób i głodu stawało się realne, szczególnie, kiedy zaczęto ogradzać dzielnicę żydowską murem. Tylko Kon nie obawiał najmniejszego zaniepokojenia. Powodowało to niechęć ku niemu jego znajomych i współtowarzyszy niedoli. Środowisko żydowskie wspominało teraz, jak to Kon przed wojną hołubił hitlerowców.

Pewnego mroźnego już, grudniowego dnia Kon jak zwykle zamyślał ścieżkę w ogrodzie swego dawnego pałacu. Nagle pod bramę zajeżdżało auto. Był to clemozielony „Horch”, jakiego używali tylko cywili dygnitarze lub wyżsi oficerowie sztabowi. Wyśiadło zeń dwóch oficerów w mundurach SS. Warta zaprezentowała broń. Grupa ciekawych przechodniów zatrzymała się przed sztachetami. Tylko Kon nie zwracał na przybywających uwagi.

Na spotkanie gości wyszedł przed dom oficer zajmujący wille i na widok ich dystynkji wywręził się służbiście. Przybyście podał mu jakiś papier. Oficer wskazał ręką Oskara Kona. Przechodnie myśleli, że oto wybiła ostatnia godzina dla bęgo „wizewskiego królika”. Taka wizyta SS-mandów zazwyczaj oznaczała tylko jedno...

W ciągu godziny sokowano walizy osobistych rzeczy Konów, rozdzielano też ze ścian trochę ociekających obrazów. Oskar przebrał się w normalny garnitur. Po pewnym czasie przechodnie urzeli, jak szofer i ogrodnik dźwigają kufty Konów, a pomagała im w tym... dwaj wyżsi oficerowie SS. Prezes z żoną zajął miejsce w limuzynie. Samochód ruszył. Oskar Kon opuszczał w tym momencie Łódź na zawsze.

Okazało się, że „wizewski królik” istotnie nie „mógł” nazbyt spieszenie uciekać przed okupantem. Hitlerowcy grzechnie i z wszystkimi honorami zawieźli go wprost do... Szwajcarii.

Tajemnica tego niezwykłego wydarzenia jest nadzwyczaj prosta. Należy mniemać, że Kon spokojnie oczekiwał wizyty zielonego „Horch’a”, który powiezie go do Genewy.

Mianowicie Widzewska Manufaktura objął we władanie (ku wściekłości łódzkich fabrykantów niemieckich, z dawną ostrzyżych sobie zęby na widzewskie „mienie państwowe”), koncern Hermana Goeringa. I oto, kiedy załatwiono proste formalności związane z przejęciem pożydkowego mienia, natrafiono na poważną przeszkodę prawną, zgola zasadzkę, którą przygotował okupant

tom mądry prezes Kon. Pamiętamy, że jego akcje Wimy były we władaniu banku szwajcarskiego, banku kraju neutralnego, którego prawa własnościowe Niemcy musiały w pełni szanować. A tylko Oskar Kon mógł rozporządzać pakietem akcji, oczywiście po uprzednim wypłaceniu bankowi pożyczonych odeń sumy miliona franków szwajcarskich w złości wraz z odsetkami.

Kon postawił marszałkowi Rzeszy ultimatum: odda mu akcje, ale uczyni to tylko w Genewie. Goering przyjął warunki. I oto Oskar Kon hitlerowską limuzyną spokojnie opuszczał hitlerowskie piekło.

Trzeba tu wyjaśnić, że Goeringowi nie zależało tylko na respektowaniu praw szwajcarskich do Wimy, ale w ogóle tworzył on całą fikcję legalnego przejmowania i wykupywania fabryki. Chodziło tu o stworzenie pozorów legalności, aby na wypadek przegranej wojny jego prawo własności było honorowane przez sądy.

Gwarancją dla Niemców, że Kon w Genewie sprzeda im swe akcje i to po minimalnej cenie był fakt, że cała, prócz żony, rodzina Kona, to znaczy trzy córki, zięciowie i ich dzieci przebywały w łódzkim getcie. Po przeprowadzeniu transakcji mieli oni zostać również przewiezieni do Szwajcarii.

Goering nie dopełnił warunków umowy. Cała rodzina Oskara zginęła w łódzkim getcie. Po raz pierwszy Kon został przez kontrahenta wyprowadzony w pole, a skutki tego były tragiczne. No, ale też po raz pierwszy Kon znalazł się w sytuacji słabszego.

Oskar Kon, który wywiózł cały swój majątek rzucił się natychmiast po przybyciu do Genewy w wir wojennych interesów. Nim nadszedł pokój potrafił on swoje miliony skutecznie pomnożyć. Po wojnie osiadł w Meksyku, gdzie wybudował sobie fantastyczny pałac. Druga rezydencja miał w Egipcie, gdzie pomysłowo rozwijał swoje bawelniarne interesy. W Europie bywał wszakże ponad rzadko.

Powojenny Kon był znacznie większą potęgą finansową niż przedwojenny. Liczył się teraz na rynkach światowych jako jeden z międzynarodowych monopolistów o dosyć poważnym znaczeniu.

Tak więc Oskar Kon wygrał tę partię, która moźnolnie i z talentem rozgrywał przez całe życie. Wygrał ją tak jak wygrywał wszystkie jej epizody. Osiągnął szczyty bogactwa i osiadł na swych milionach samotny w obcym kraju. Starzec ten nigdy nie zaprzestał pogoni za pieniędzmi. Niezmordowanie prowadził interesy na wielką skalę.

Do niedawna pisywał jeszcze listy do Łodzi. Coś go widać ciągnęło w rodzinne strony. Prosił w tych listach jednego ze swych przyjaciół, żeby mu donosił o słychać w Widzewskiej Manufakturze. Pisał, że wciąż liczy, iż wróci do Łodzi, a wtedy, za te informacje odwdzięczy się przyjacielowi posiadającemu Jyrektora Wimy.

W 1952 roku, gdy liczył 82 lata donosił, że kupił nowe plantacje bawelny w Egipcie, gdzie „dniówka robotnika rolnego jest trzy razy niższa niż dziennej koszt utrzymania bawolu”. Poza tym kazał powiadzić „swoim” robotnikom, że jak wróci ufunduje im szpital. Szpital co najmniej dwa razy większy niż ten, który wystawił kiedyś Poznańsk.

Dziwna i kłopotliwa sprawa. Nie wiemy w gruncie rzeczy, czy Oskarze mówić w czasie teraźniejszości, czy przeszłym. Żadna wiadomość o jego śmierci nie dotarła do Łodzi...

Łódź, 1960.

Notatnik KULTURALNY

26-31. V. 64.

PONIEDZIAŁEK

W epoce etnicznych budowli, w epoce funkcjonalnych konstrukcji kamienne kariatydy kojarzą się nam mogą jedynie z antykami i renesans. Nie powstają dziś domy wsparte kamiennymi posągami. Ale „Kariatyda” powstała. Powstała jako klub łódzkiego przedsiębiorstwa budownictwa miejskiego. Typowe łódzkie podwórko — ofiarna, schodki w dół i tam kolorowa salka z barem. Kawa, napoje chłodzące — wyłącznie bowiem coś mocniejszego, to jak wiadomo budowlani mają na budowach. Przesładam półtorastronicową informację jako wreczyć mi kierownik klubu p. Kanarski i widzę, że odbiega ona nieco od tego typu za powieźli. Jest po prostu słomniejsza w propozycjach — kierownictwo obliczyło widać swoje możliwości i nie syple plasmid w oczy. Kierownictwo wie co „ludzie lubią” i co „ludzie kupią” — film w dwudziestolecie, nieskrepowane pozadanki przy kawie, brydż, szachy, polityka, wieczorki taneczne. Jest to program rozsądnego minimum.

WTOREK

Wygrałem zakład. Pomógł mi w tym wydatnie STS „Cytryna” wygrywając o kilka długości finał Przeglądu Teatrów Politycznych w Szczecinie. Program „Bal z transparentem” zdobył uznanie jurorów i pobit „Pstrąga”. Teatr 38, wrocławski „Kalambur” i inne nie najgorsze przecież zespoły. Wytem zaleślad, bowiem postawiłem na świeży delikatos, a nie jak mój

kontrapartner, na odsmażania na rybc.

SRODA

To co przedstawiła w salonie wystawowym BWA (Piotrkowska 102) p. Anna Kramarz-Gruszczyńska, stanowił unikat nie tylko dlatego, że eksponowane tkaniny są niezwykle na skalę przemysłowa. To są unikaty także z innych względów. Artystyczna tkanina, nieskrepowana ograniczonymi możliwościami wykonawstwa przemysłowego, tkanina projektowana z rozmachem, pełna kolorystycznych subtelnosci, których nie odda druk — jest po prostu deficytowa. Dla artysty deficytowa. Zupełnie nieprzydatkowa wystawa tkanin artystycznych p. Kramarz-Gruszczyńskiej jest pierwszą tego typu w Łodzi, mieście przecież tradycyjnie tkanicim i włókiarskim. Mało kto pracuje w tej dziedzinie, bowiem amatorów na niepowtarzalną, oryginalną tkaninę dekoracyjną — mało. Tych 14 barwnych płaszczym rzecz naprawdę piękna — mogłyby znaleźć się one na ścianach klubów, kawiarni... Nie jestem optymistą; chyba się jednak nie

znajdą. Dopóki nie będzie zbytu na tego rodzaju dzieła sztuki dekoracyjnej, nie sprawdzi się wśród łódzkich artystów plastyków z Kabaretu Starszych Panów; „Ojciec i matka tka; i ciotka zła też coś tam tka”.

CZWARTEK

Pisałem ostatnio o festiwalu teatrów amatorskich. Pisałem jak mi serce dyktowało, a że impreza była; moim zdaniem, i ciekawa i potrzebna, pisałem z sympatią. Obrażono się jednak. Ton tych notatek był rzekomo nieodpowiedni. Nie podzielałem dyskusji na ten temat — nie warto. Jest jednak w tej historii pewien problem. Otóż przyzwyczajono się do sztampowych, cukierkowych pochwał prasowych, do cenzurek konwencjonalnych i gładkich. Wszystko co wykracza poza rejon stereotypów uważa się za obrażenie. Choćby autor pisał żywotnie i z sympatią, teści nie korzysta z arsenali umownych środków traktowanych jest podręcznikowo. Wtedy nadejść pada zar... nieodpowiedniego tonu. Jest to zarzut

którym można szermować zupełnie dowolnie — bowiem jest on mocno nieprecyzywny i bronić się przed nim dosyć trudno.

PIĄTEK

Przeglądałem ostatnio statystykę dotyczącą sprzedaży miesięc rubryka „te lewizory” — 26 proc. Oczywiście TV to też kultura i sztuka, ale przypomnieliem sobie o staraniach łódzkich artystów. Artyści jak to artysty — często strzelają pomysłem kłisze życiowym; ale w tym wypadku może się coś z tego wykluje. Otóż plastycy chcą przekonać ORS, że sprzedaż obrazów na raty byłaby pożyteczną propagandą sztuki. Nikt nie ma w tym względzie wątpliwości — pewne jest także, iż rubryka „obrazzy” nie zbliży się procentowo do rubryki „te lewizory”. Świadom tych pewnością ORS ma opory. Ja się dziwię. Przecież obraz plastyka blije na słowo obraz w TV. Jest barwny i nigdy nie „gaśnie”; z upływem czasu zyskuje na wartości; czego o telewizorze powiedzieć nie można. Niech

ORS spróbuje zareklamować obraz w powyższy sposób. Może chwyci?

SOBOTA

W Zdunskiej Woli strażnicy wynosili z samochodu na rękach dekoracje i aktorów. Do Bonisza na przedstawienie „Pałac Sprawiedliwości” ludzie pielgrzymowali ze Stefanowa i Wiskitna... Nie wyobrażamy sobie, jakie poruszenie w województwie wywołały spektakle amatorskich zespołów, jakich witano, fetowano, obdarowywano. To był ładny finał Festiwalu — ten wypadał do wioski i miasteczka. Ciekawi mnie, skąd ten entuzjazm w Belchatowie i Puszczy Marjańskiej, w Sieradzu i Wilamowie. Po wotywódtwie wolażują Teatr Ziemi Łódzkiej i Estrada, wolażura często i odwiedzają często — głodu imprez na Ziemi Łódzkiej nie ma. A może stosunek do sztuki i widowni jest u amatorów inny niż u zruztynizowanych profesjonalistów? Bardziej nabożny —

i może to właśnie rodzi sympatię widowni.

NIEDZIELA

Mam przed sobą rysunek p. Heleny Kotlickiej — typowe łódzkie podwórko z niebem przekreślonym fabrycznymi kominami. Helena Kotlicka wy stawała niedawno swe prace i łódzka prasa odnotowała te ekspozycje. Ja o czym innym. Ja o ilustracji książkowej. P. Kotlicka ilustrowała książki „Naszej Księżarki” i Wydawnictwa Łódzkiego, na Międzynarodowych Targach Książki wystawiała ilustracje do wierszy Tuwima i Gałczyńskiego. Od dawna już nie spotykam w księżkach wydawanych w Łodzi ilustracji Heleny Kotlickiej. To nie pretensja do Wydawnictwa — w ogóle rzadko spotyka się dziś książki ilustrowane. Panuje przekonanie, że poważna literatura ilustracji nie potrzebuje. Nie wiem — może to infantylnie upodobanie, ale lubię książki z obrazkami i chciałbym ich widzieć jak najwięcej.

Jerzy Wilman's list

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Billiński (red. naczelny), Konrad Frejdlieh, Wanda Karcewska, Tadeusz Papier, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Lech Budrecki, Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca — Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” — z oznaczeniem: na „Odgłosy”. Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirk. 17. Zam. 1674. VI. 64. F-13